Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 29. Sierpnia 1880 r. **Tom XI.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 35.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f. We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

(Ciąg dalszy).

IX.

Zaślubiny.

O Łobodzie zapomniała, nie w tym atoli sensie, w jakim o kochankach zapominają kochanki niektóre. Nie dziwmyż się jej! W warunkach, jakie ją otaczały, zapomnienie było rzeczą bardzo naturalną, konieczną prawie. W warunkach podobnych matki nawet zapominają o synach. Wyobraźmy sobie rodzinę wielką, naród, widzącą los swój na włosku zawieszony — patrzącą w grób otwarty — i przekonaną, że włoskiem owym, na którym się trzyma, jest nie kto inny, jeno człowiek pojedyńczy, dzierżący w rękach swoich szalę losów. Chociażby człowiek ów najniedołężniejszym był, to w warunkach takich, w jakich się podówczas kraj znajdował, przedstawiał się on lepszym, niż żaden. W rzeczy samej tak było. Gdyby Michał Korybut był nie umarł, zwycięztwo chocimskie rozwinąć się mogło w następstwa, które się same przez się nastręczały. Za życia zaś jego nikt jeszcze o zwycięztwie nie wiedział — nie istniało jeszcze w postaci czynu spełnionego (Michał Korybut umarł listopada 10, bitwa odbyła się 12) i życie jego wydawało się rękojmią jedyną we względzie wyjścia z położenia niezmiernie trudnego. Raptem włosek urywa się, rękojmia zmienia się w zimnego trupa. Stało się to we Lwowie — w grodzie, który śród okoliczności owoczesnych odegrywał niezmiernie ważną w losach rzeczypospolitej rolę, którego mieszkańcy i czuli żywo i rozumowali trafnie, stojąc niejako na kresach i zamieniając często na oręż szydła, igły, hyble, młoty, łokcie i kwaterki. Śmierć króla skonsternowała ich; konsternacja ta odbiła się w pałacu wojewodziny.

— Rodzina ginie!... — przebiegło z ust do ust, gdy Michał Korybut ostatnie wydał tchnienie.

Zdawało się, że się przepaść bezdenna pod nogami otwarła.

Stało się!

Ach!... któż w chwili tej pamiętać mógł o czem?...

Ów całun śmiertelny, którym katafalk królewski okryto, wyglądał tak, jakby się rozpostarł na kraj cały.

Możnaż było o kochankach, o czemkolwiek pamiętać?

Sama wojewodzina w osłupieniu, jakie się na nią z otaczającej ją atmosfery zwiało, o modłach, o zbawieniu duszy własnej na chwilkę zapomniała.

I była w tem racja wielka.

Kto wie, ażali bitwa chocimska miejsce by miała, gdyby o śmierci królewskiej dowiedziało się by.o wojsko na chwilę przed stoczeniem onej.

Był to wypadek dla tych, co sytuacją tak jak Lwowianie rozumieli, w rzeczy samej przerażający. Żadna ani przedtem, ani potem, śmierć królewska nie nastąpiła w konstelacji równie groźnej.

To też goniec żaden nie ma równego prawa do nazywania się posłem dobrej wieści, jak ten, który wiadomość o zwycięztwie pod Chocimem przywiózł.

Ciężar wielki z piersi spadł.

Ludzi opanował szał radości.

Rozmowy wszystkie, powitania, pożegnania, zaczynały się i kończyły jednym łkaniami rozbijanym na kawałki, wyrazem:

— Zwycięztwo!...

Płakano i śmiano się, podnoszono do nieba ręce i oczy:

— Zwycięztwo!...

To, co po tej pierwszej nastąpiło chwili, o tem wspominać nie warto. Były to już uniesienia resztki, które się wyraziły biciem w dzwony, biciem z dział, okrzykami na ulicach i hymnami po kościołach. Uniesienie pierwotne rozpływało się w kadzidłach, rozłożyło na pierwiastki, rozbiło w komentarzach. Gdy dzwony się odezwały, niejednemu przyszły na myśl dzwony owe, co tak niedawno jęczały żalem. Jaki taki miał ochotę stanąć przed katafalkiem i zawołać.

— Wstań, trupie!... popatrz na nas, cośmy przed chwilą krwawemi płakali łzami!... Ciesz się wraz z nami!...

Po wielkim, nadzwyczajnym smutku, wielka, nadzwyczajna nastąpiła radość, która ogarnęła wszystkich, tak, że wojewodzina znów na chwilę o modłach i o zbawieniu duszy własnej zapomniała.

Krzysia zapomniała o szlachcicu Łobodzie.

Poszanowanie prawdy, obowiązujące powieściopisarza zarówno jak i każdego pisarza, wyznać nakazuje, że zapomnienie wojewodziny trwało chwilkę tylko. Zapomnienie starościanki trwało bez porównania dłużej. Przez całych dni trzy pozostawała pod urokiem uniesienia pierwotnego; — aż po odmówieniu wszystkich aktów dziękczynnych i pochwalnych, klasnęła w dłonie i zawołała:

— Ach!... a pan Łoboda!

I odpowiedziała sobie w duchu:

— Teraz!

Do słówka tego potrzebnym jest komentarz. »Teraz« znaczyło, że wojna ta pokaże światu wartość jej kochanka. Uwa-

żała to za następstwo nieodzowne. Czekała na głosy sławy stugębnej.

Poczęły napływać wieści z teatru wojny. Ten się odznaczył i ów się odznaczył, ten zginął, ów stchórzył: o Łobodzie żeby też kto pisnął! Ani się odznaczył, ani zginął, ani stchórzył. Krzysia nie wiedziała, że z wojownikami takimi zwłaszcza co pleców (wyraz techniczny) nie mają — dzieje się, jak z ilościami liczbowemi, w których zera służą do oznaczenia miejsca cyfr. Zera znaczą, ale z cyfami, bez nich nie znaczą nic, mianują się zaś cyfry jeno. Przytem odznaczyć się — co to jest? Od żołnierza wymaga się pełnienia powinności, i gdy to czyni, tem samem odznacza się, ale na to wodzowie nie zważają. Czyny heroiczne przytrafiają się wybrańcom fortuny, postawionym w warunkach, w których, się indywidualność uwydatnić może. Jestto po największej części dzieło przypadku, dzięki któremu wieniec sławy spada nieraz na skroń takiego, co bohaterem został mimowolnie. Mógł więc Łoboda i odznaczyć się, ale w warunkach, które go nie uwydatniły.

Dla Krzysi obcemi tajemnice te były. Nazwisko miłego jej utonęło. Co jednak się z nim stało?

Co się stało — we względzie tym miała precedens. Poprzednio również nic o nim nie wiedziała, aż przypadek zdjął z tajemnicy zasłonę. Spuściła się więc na przypadek i w tym razie i — czekała.

Upływały dnie, tygodnie, upływały miesiące, bez wieści od miłego. W operacjach wojennych, po bitwie chocimskiej, nagła nastała przerwa. Z racji śmierci króla, hetman litewski cofnął wojska rozkazom jego podległe. Zrobiło się zawieszenie broni, które jednak uspokojenia nie sprowadziło, albowiem krzątać się wnet poczęto około elekcji. Ogłoszono kaptur. Kraj dostał się pod władzę prymasa. Kaptur trwał dłużej lub krócej — to zależało; niemniej przeto wywierał wpływ na tok spraw i na rozwój historycznych zdarzeń. W ciągu bezkrólewia kraj wrzał do głębi, zwłaszcza zaś po śmierci Korybuta. Nigdy do tronu polskiego nie zgłosiła się kandydatów liczba większa. Ajenci krążyli; sejmiki odbywały się ustawicznie, a to nietylko po powiatach i grodach, ale wszędzie, gdzie jeno zgromadziło się szlachciców kilku. Ruch gorączkowy owładnął ogół i trwał przez zimę całą, aż się rozstrzygnął nareszcie wyborem na króla zwycięzcy z pod Chocimia.

Rozstrzygnęło się jedno — nawiązało się wnet drugie.

Po elekcji — wojna: wojna owa, która, jeżeli sobie czytelnik przypomina, sprowadziła partją lekkiej jazdy na Pobereże, pod futor pana Macieja Małuskiego.

Takiem to było praojców naszych życie! Odetchnienia — żeby chwila! Z wojny na obrady; z obrad na wojnę. Nie skończyło się jedno; zaczynało się drugie. Gorączka ustawiczna przeszkadzała umysłom wypocząć i w sytuacji się rozpatrzeć. Z zewnątrz naciskały zamachy sąsiadów; wewnątrz nurtowały fakcje magnatów. Przytem i okoliczności układały się fatalnie. Śmierć, naprzykład, jednego z najsłabszych królów polskich była jedną z największych klęsk, jakkolwiek bowiem nie przeszkodziła ona bitwie chocimskiej, przeszkodziła atoli wyciągnięciu z takowej korzyści stosownej.

Przedziergnięty w króla hetman przedsięwziął dokończyć rozpoczęte a tak nie w porę przerwane dzieło.

Pięknem to było przedsięwzięcie!

Ruch przygotowań wojennych zajął umysły na nowo. Starosta buski brał w ruchu tym udział żywy; zbierał się razy parę pojechać do Lwowa w celu odwiedzenia dziewki swojej; odkładał to z dnia na dzień; aż zebrał się nakoniec pod jesień jakoś, udając się do wojska. Z Buska do Lwowa wracać się musiał. Wrócił jednak. Ponaglał go wzgląd na wiek późny. Żył tak długo; spodziewał się śmierci w rychle i nie chciał córki bez opieki pozostawiać.

Krzysia powitała ojca z radością i obawą. Obawa pochodziła z powodów, których się czytelnik domyśla z łatwością: lękała się alternaty. Radość zaś tkwiła nie w samem tylko oglądaniu oblicza ojcowskiego, ale w tem jeszcze, że się naocznie niejako przekonywała, iż zdrowo i cało wyszedł z pod Chocima, gdzie się znajdował w niebezpieczeństwie, o którem podania krążyły. Łączyński najpierwszy wdarł się na wały tureckie i długo trzymając na sobie napór sił przeważnych nieprzyjacielskich, w obawie ażeby cofnąć się nie musiał, posłał do króla o posiłki. Król właśnie słuchał mszy pod namiotem. Dowiedziawszy się, że Łączyński prosi o posiłki, postanowił posłać. I nie zawiódł się. Starosta, pomimo że był jeden przeciwko dziesięciu, zepchnąć się nie dał ze zdobytego punktu, który następnie posłużył za wrota dla armji polskiej. Opowiadania o czynie tym, upiększone dodatkami, przechodziły z ust do ust i doszły do wiadomości starościanki. To też witała ojca z uniesieniem i pragnęła z ust jego własnych o istocie rzeczy się dowiedzieć.

— Czy to prawda, tatku?... — pytała, powtarzając co słyszała.

— Prawda, ale pół na pół... Kręto było... Turcy napierali tak zbliska, że sam byłem obskoczony i gdyby nie towarzysz jeden pancerny, co się nie wiedzieć jak i zkąd tam wziął, kto wie jakby się skończyło było...

— Towarzysz jeden pancerny?... — powtórzyła dziewczyna tonem półzapytania.

— Znam nazwisko jego nawet... Jakże to?... — zapytał sam siebie. — A! Ło... Łoboda...

— Łoboda!... — krzyknęła starościanka głosem półprzerażenia i półuradowania.

— Co?... — zdziwiło to starego jenerała. — Nazwisko osobliwe... Ukrainą trąci...

Dziewczyna to na ojca spoglądała, to oczy spuszczała, znajdując się w tym stanie, w którym oczy zawadzają niby; nie wiadomo co zrobić z niemi.

— Co ci?... — zapytał ojciec.

— Nic, tatku...

— Gdyby tedy nie ów Łoboda — ciągnął starosta — to kto wie, czyby mnie bisurmani nie skłuli byli... Cisnęli się hurmem, on ich na szablę wziął i rum otworzył... Walecznie poczynał sobie... Wkrótce potem nadbiegł sukurs i odparliśmy Turków... Oto wszystko...

— Wszystko?... — zapytała.

— To co rozpowiadają, to brednie istne...

— A on?...

— Kto?...

— Łoboda?...

— Zginął...

Dziewczyna nie powiedziała na to nic. Głowę jeno spuściła i po chwili podniosła oczy — spokojne były. Westchnęła. Nagle się ku ręce ojcowskiej pochyliła, pochwyciła ją, do ust poniosła i łzami się zalała.

— Co ci?... Krzysiu?... — pytał starosta zdziwienia pełen.

— Tatku!... ach! tatku!... — łkała.

— Cóż ci?...

— Tatku!... och! teraz... — do ócz chustkę przyłożyła — nie pozostaje mi innego nic... tylko... klasztor...

— Co takiego?...

— Nic... tylko... klasztor...

— Zkądże to?...

Dziewczę milczało.

— Przeciwko klasztorowi ostatecznie nie oponuję... ale... wojewodzina wspominać ci musiała... kasztelanic słoński...

— Nic... tylko klasztor... — rzekła z mocą.

— Kasztelanic słoński... młodzian i rodu dobrego i fortuny dostatniej, opolerowany i stateczny...

— Jeżeli nie on, to klasztor... — przerwała, wciąż płacząc, lecz tonem postanowienia niezłomnego.

— Kto nie on?...

— Łoboda... Och!... Jam ci się chciała do nóg rzucić i u stóp twoich, ojcze, się czołgać!...

Starosta cofnął się zdumiony i jakby uszom własnym nie wierzył, zapytał:

— Co?...

— Jam imć Łobodę kochała!... — westchnęła, oczy na ojca wznosząc.

Starzec głową pokiwał z politowaniem, i pomilczawszy chwilkę, odrzekł:

— I myślisz, że ja bym pozwolił na to?...

— Już ja nie myślę nic, ojcze... Serce wdowie Chrystusowi zaręczę...

Starosta ramionami ścisnął. Postanowił pomówić jeszcze z wojewodziną, przedstawić jej stan duszy dziewczęcia i prosić o przedsięwzięcie środków stosownych, celem uleczenia duszy chorej.

Wyobrazić sobie łatwo, z jaką indygnacją przyjęła wojewodzina wiadomość o wyznaniu, jakie Krzysia ojcu uczyniła. Nie okazała jednak tego po sobie, albo raczej okazała indygnacją pod postacią politowania. Złożyła wypadek na dopust boży. Uspokoiła starostę, zaręczając mu, że modlitwa i rozmyślanie skutecznie zapobiegą złym następstwom, jakieby występek Krzysi pociągnąć mógł za sobą.

— Jakim następstwom?... — zapytał

starosta, który nie rozumiał istoty onych. Ow Łoboda nie żyje...

— Imć Łoboda nie żyje — tłumaczyła pobożna pani — ale żyje uczucie w Krzysi sercu.

Starosta zrozumiał.

— Pojmuję teraz — dodała pani — powód, dla którego tak troskliwie dowiadywała się Krzysia o rannych i zabitych w tej wojnie... Cóż to znaczy, że o śmierci imć Łobody dowiedziała się dopiero z ust waszmości, mości starosto?...

— Rzecz prosta — odrzekł tenże. — Ogłaszano zginionych, Łoboda zginął na stanowisku nie swojem, nie w swojej chorągwi... O nazwisku jego dowiadywałem się umyślnie.

— Swieć, Panie, duszy jego...

Z Krzysią wojewodzina o Łobodzie nie mówiła. W postępowaniu z nią, dobrotliwości pełnem, zachowywała się tak, jakby nie wiedziała o niczem. Pochwalała jej postanowienie, co się klasztoru tyczy, nalegając jeno na to, ażeby przed przestąpieniem progu murów świętych, oczyściła serce.

Panienka rozmyślała w duchu rad wojewodziny; modliła się, płakała; lecz myśli o Łobodzie nie była w stanie z głowy i z serca wyrzucić. Przechodziło to jej siły. Na samotnych w ogrodzie przechadzkach, ile razy przeszła mimo punktu tego, w którym niegdyś schadzkę z nim miała, zawsze zatrzymywała się i wydawało się, jakby słyszała głos jego o słuch ją uderzający. Złudzenie bywało tak wielkie, że razy parę strach ją przejął. W czasach owych nie panowało jeszcze przekonanie o tem, że umarli nie wracają. Przekonanie to jest wymysłem cywilizacji »skrzywionej.« Cywilizacja, póki skrzywioną nie została, uważała rzecz tę za możliwą w razach pewnych. Wypadki podobne podawano za niewątpliwe. Wszak biskupowi Gamratowi kamrat pokazał się po śmierci i sprowadził go na drogę upamiętania. Przytaczano fakta tego rodzaju jako pewniki; pewniki zaś te oddziaływały na wyobraźnię, niewieścią zwłaszcza. Krzysia miała tego głowę pełną, nie wątpiła przeto, że z za muru odzywa się głos imć pana Łobody nieboszczyka. Trwożyło ją to z razu. Żegnała się i uchodziła, następnie zaś tem więcej o kochanku rozmyślała. Głos ten atoli był tonem jeno, tonem bez wyrazów, podobnym do echa lutni dochodzącego z daleka; był jękiem. To ją naprowadziło na domysł: czy też dusza jego nie potrzebuje pomocy, ofiary jakiej?

— Pomocy? ofiary?... Ach! W czyścowych może pozostaje katuszach!...

Myśl ta stłumiła w niej obawy. Uważała sobie za obowiązek, dowiedzieć się o potrzebach duszy pana Prokopa i uczynić takowym zadość. Odtąd chodziła śmiało do muru w ogrodzie pałacowym, stawała, słuch natężała i nic nie słyszała.

Nic nie słyszała przez tydzień, drugi i trzeci, aż razu pewnego o uszy jej obił się szelest jakiś.

Nogi pod nią drżały. Uciekać chciała. Przeżegnała się i skupiwszy odwagę całą, na jaką zdobyć się mogła, została.

Odwaga jej na większą wnet wystawioną została próbę. Nad murem ukazała się głowa, która, o ile w cieniach zmroku wieczornego widzieć było można, wydawała się głową nieboszczyka.

Dziewczyna skipiała.

Głowa się schowała — i słyszeć się dały z za muru wyrazy:

— Waszmościanka sama?...

Wyrazy jego! Krzysia się znów do uciekania zbierała; lecz pamięć na katusze duszy przytrzymała ją i włożyła jej w usta wykrzyknik:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!...

— I ja chwalę... — padła odpowiedź.

Wraz z odpowiedzią tą na murze pojawiła się postać, która zsunęła się szybko, zrobiła kroków kilka i Krzysię za rękę pochwyciła.

Dziewczyna drżała, niby osiczyny listek. Przeciwne jakieś uczucia miotały nią. Przekonaną była, że ma do czynienia z duszą Łobody, a widziała ucieleśnienie jego przed sobą. Widziała go, czuła na dłoni swojej dłoni jego uścisk. Uczuła też wnet i pocałunek gorący i ulegając oczywistości, a idąc za popędem uczucia, uniesiona niejako, pogarnęła się ku niemu całą sobą. Nie pozbywała się jednak przekonania, że to dusza. Z tego zapewne powodu pozbyła się — przytomności umysłu.

Osunęła się, omdlała.

Trudno oznaczyć, jak długo w tym zostawała stanie. Ocuciła się. U nóg jej, za ręce ją trzymając, klęczał Łoboda; nieopodal, obok stolika, siedział ksiądz Jacek. Na stole gorzała świeczka w lichtarzu mosiężnym. Ksiądz miał na habicie komeszkę, a po wierzchu komeszki stułę.

— A no... — odezwał się. — Chwała Bogu;... kiedy już przyszła do siebie, to nie ma do stracenia chwilki jednej...

Takiemi były wyrazy pierwsze, jakie się o uszy jej obiły. Obejrzała się, lecz nie zdawała przed sobą sprawy, gdzie jest, co się z nią stało. Widok zakonnika podał jej w wątpliwość przekonanie o znajdowaniu się wobec duszy kochanka. Gdyby nie to, kto wie, ażaliby jeszcze w cielesność jego nie wątpiła.

Obejrzała się, oczy na Łobodę zwróciła i

— Żyjesz?... — szepnęła.

— Klęczę u nóg twoich... — była odpowiedź jego. — Oto ksiądz... czeka w pogotowiu do pobłogosławienia nas na związek dożywotni... Będę twoim, ty będziesz moją...

— Twoją?... — zapytała, w oczy mu patrząc.

— Spieszcie się jeno, asaństwo... — dał się słyszeć głos księdza. — Swiadkowie czekają, świece gorą...

— Moją — odrzekł Łoboda — na wieki moją... Chodź jeno... przed ołtarz...

— Przed ołtarz!... — zawołała, jakby się nagle ze snu ocucając.

— Wszystko gotowe.. świadkowie czekają...

— Ależ... a... ale... — bąkać poczęła tonem takim, jakby oponować zamierzała. — Co powie na to?...

— Kto co powie!... — przerwał Łoboda porywczo nieco. — Jam ciebie zdobył...

Nie rozumiała Krzysia, coby wyrazy ostatnie oznaczać miały. Ton ich wszelako zaimponował jej. Miłość wszczepia wiarę, wiara ufność. Temu, którego pokochała, wierzyła i ufała. Kiedy więc po wymówieniu wyrazów powyższych z klęczek wstał, wstała i ona i poszła za nim. Poprzedzał ich ksiądz Jacek. Przechodzili przez korytarze ciemne; schodzili i wchodzili po schodach; zdawało się niekiedy, jakby się w podziemia spuszczali; nie trwało to jednak długo. Drzwiczki jakieś otworzyły się i znaleźli się w kościele pustym, ciemnościami zalanym. Z boku jeno, z po za filarów, bił blask bladawy, niby łuny odbicie. Ku blaskowi temu skierowali się. Był to jeden z bocznych ołtarzy, oświecony świecami zapalonemi.

Ksiądz przed ołtarz po stopniach wszedł; oni na stopniach uklękli; obok pojawiło się dwóch dziadów, którzy w ławkach czekali.

Rozpoczęła się wnet i wnet zakończyła benedykcja ślubna.

Krzysia, wymawiając wyrazy przysięgi, wlała w nie całą potęgę uczucia, z którem się przez lat dwa ukrywać musiała. Głos jej brzmiał jakowąś pełnią uroczystą i budził echa w ciemnych zakątkach świątyni. Po złożeniu przysięgi pozostała jeszcze chwilkę przed ołtarzem, pochyliła się, w cichej utonęła modlitwie; wreszcie wstała, rękę Łobodzie podała i z mocą rzekła:

— Teraz ja twoja... nie oderwie mnie już od ciebie nikt i nic...

Łoboda chciał odpowiedzieć coś; lecz przerwał mu ksiądz, który z przed ołtarza schodząc, zwrócił się do nich obojga z następującemi słowy:

— Niechże wam Pan Bóg błogosławi... Kochajcie się i idźcie sobie w spokoju... A zmiatajcie, żeby was, broń Boże, nie przyłapała pogoń wojewodzińska...

Młode małżeństwo do drzwi przez księdza Jacka odprowadzone, wnet z kościoła wyszło.

Księdzu łatwo było powiedzieć: »zmiatajcie» — którędy i jak?

Zapytanie ostatnie spadło na Prokopa, niby sęp na zdobycz, i mózg mu targać poczęło. Zatrzymał się na chwilkę na ciemnym przed kościołem placu i wzniósł wzrok do góry, jakby pełzające na niebie gwiazdy o radę czy natchnienie wzywał.

Mieszkał w gospodzie, najprostszą przeto rzeczą było na gospodę młodą prowadzić małżonkę. Było to jednak nader na widoku. Musiał pozostać do jutra; nazajutrz zaś szukać sposobu wyjechania ze Lwowa. Wszystko to wymagało czasu, w ciągu którego młoda pani Łobodzina przebywaćby musiała na wystawie niby. Spoglądał przeto ku gwiazdom i z gwiazd snadź natchnienie mu przyszło. Chrząknął tryumfalnie, ręką machnął i do żony rzekł:

— Chodźmy!...

Poszli z ciemnego placu w ciemną ulicę, przeminęli ulic kilka, aż Prokop znów do żony rzekł, zatrzymując się obok węgła jakiegoś:

— Postój tu... za chwilkę z powrotem będę...

I nie czekając na odpowiedź, oddalił się szybko.

Krzysia teraz dopiero przeraziła się. Próbowała myśleć nad położeniem własnem, lecz dwóch myśli złożyć razem w stanie nie była. Uczuła się osamotnioną niby i opuszczoną, spoglądała z przestrachem w ciemność; jeszcze jednak przerażenie jej czasu nie miało rozwinąć się dostatecznie, kiedy Prokop był już z powrotem.

— Chwała Bogu!... — było pierwsze słowo jego. — Będziesz spokojną i bezpieczną, jak u Pana Boga za drzwiami...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PAMIĘTNIKI POWSTAŃCA

z 1863 i 1864 r.

Przejrzał i przypisami uzupełnił

ZYGMUNT LUCJAN SULIMA.

KSIĘGA TRZECIA.

BOSAK I KRZYWDA.

(Ciąg dalszy.)

I.

Treść: Skowroński pod Wolą Cyrusową — bitwa i straty obustronne — moje wyzdrowienie — poszukiwanie oddziału — wypadek w Węgleszynie podróż do Warszawy i pobyt tam — powrót — Rząd Narodowy — moje postanowienie.

Równocześnie prawie z rozbiciem oddziału Chmielińskiego pod Bodzechowem, pobity został i rozproszony ostatecznie oddział Skowrońskiego w powiecie Rawskim, pomiędzy Łowiczem a Brzezinami, pod Wolą Cyrusową. Oto są szczegóły tej bitwy, zaczerpnięte od naocznych świadków:

Skowroński z oddziałem, tak nazwanym, Rawsko - Łęczyckim (życia Skowrońskiego nie znam bliżej), składającym się z 1600 piechoty i 200 koni kawalerji, stał obozowiskiem we wsi Wola Cyrusowa — a drugi oddział, niejakiego Szumlańskiego, byłego oficera wojsk pruskich, i Magnuskiego, składający się z 200 ludzi piechoty i 100 jazdy, stał opodal, o 4 wiorsty we wsi Sierznia — nakoniec trzeci oddział kawaleryjski, liczący 100 koni pod komendą Sokołowskiego, o parę wiorst we wsi Skoszewy. Jeden z obywateli okolicznych, wysłany do pobliskiego miasteczka Strykowa za kupnem żywności, natknął się na patrol kozacki oddziału pułkownika moskiewskiego z Łęczycy, Hagenmajstra, liczącego w tej wyprawie trzy kompanje piechoty, szwadron huzarów i 30 kozaków, oprócz tego miał 4 działa. Obywatel ów wraca tedy do Sierznia i komunikuje tę wiadomość Szumlańskiemu. Staje przeto w jednej chwili plan tego rodzaju:

Wysłać podjazd dla umyślnego zaczepienia Moskali, pokazać się im, rejterować ku głównemu oddziałowi Skowrońskiego do Woli Cyrusowej i tym sposobem naprowadzić nieprzyjaciela na ukrytą w lesie główną siłę piechoty. Z uwagi na niewielkie siły moskiewskie, zupełną ich nieświadomość co do oddziału Skowrońskiego, plan ten w istocie był bardzo dobry i mógł być uwieńczony najpomyślniejszym rezultatem, gdyby, niestety! nie zbyteczna zarozumiałość i nieudolność naszych dowódzców, niechcących nigdy działać wspólnie, choćby jak największe korzyści mogło to przynieść, stanęła temu na przeszkodzie. Jak utrzymują świadkowie, Skowroński był pijany, gdy mu zakomunikowano powyższy plan, z prośbą, aby obsadził las, przez który Moskwa powinna była przechodzić za cofającym się Szumlańskim. Otóż Skowroński odrzekł, że wcale nie myśli tego wykonać i będzie oczekiwał na Moskwę w stanowisku przez siebie obranem, to jest w Woli Cyrusowej. Odpowiedzi tej wysłany przez Skowrońskiego oficer nie miał czasu zanieść Szumlańskiemu, który już zaczął bitwę, cofając się wedle planu, ścigany przez Moskali zażarcie. Nieprzyjaciel atoli, zobaczywszy we wsi gęste kolumny powstańców, stanął na skraju lasu, pod samą Wolą Cyrusową, i rozpoczął ogień działowy, obsypując kartaczami cały powstańczy obóz i robiąc straszne szkody w szeregach. Skowroński, celem wyrzucenia Moskali z tej pozycji, posłał kosynierów pod dowództwem Francuza Finier, lecz biedacy ci nie uszli i połowy drogi, gdy zostali skartaczowani i padli ofiarą nierozumnego rozkazu. Po trzech godzinach rzęsistego ognia, Moskale, nie czując się na siłach do stanowczego zaatakowania powstańców i wyrzucenia ich ze wsi, cofnęli się napowrót do Nieszułkowa, a ztąd do Brzezin. Skowroński więc utrzymał plac boju. W rozprawie tej było zabitych i rannych z naszej strony około 80 ludzi. Moskale przynieśli do Brzezin 46 rannych i kilkunastu zabitych.

W Brzezinach Hagenmajstrowi nadszedł sukurs z Łodzi w piechocie i kawalerji, i drugiego dnia, mając 5 kompanji piechoty, dwa szwadrony huzarów i 100 kozaków, ruszył do Woli Cyrusowej, gdzie zastał Skowrońskiego, najspokojniej obozującego. Przypuściwszy odrazu silny atak, nieprzyjaciel nie dozwolił sformować się naszym; rozpoczęła się rejterada, a w końcu zupełna ucieczka, i pod wsią Lipcami, około Byćwi, zostali zupełnie rozproszeni. Moskale zabrali moc niewolnika, broni, amunicji, furgonów — kawalerja tylko w części ocalała i pod wodzą Sokołowskiego przerznęła się w Rawskie, a następnie w Czerskie, gdzie w miesiąc później równemuż uległa losowi, zdaje się, koło Mogielnicy czy Czerska. Oddział Skowrońskiego był ostatnim oddziałem piechoty powstańczej w Rawsko-Łęczyckiem — dowódzca sam wpadł jak kamień w wodę.

Dziewiątego czy dziesiątego dnia byłem już tak dobrze, że mogłem wsiąść na konia — lecz co z sobą zrobić? O rozbitkach naszych wiadomości nie miałem, i jak wieści niosły, znajdowały się gdzieś za Włoszczową, o kilkanaście mil odemnie. W miejscu pozostać nie mogłem, lada chwila bowiem Moskale mogli mnie odkryć i pochwycić; rewizje po domach, mianowicie obywatelskich, były obecnie na porządku dziennym i każde indywiduum, z charakterem niejasno określonym, było aresztowane. Szlachcic przeto, aczkolwiek mi tego nie dał uczuć, widziałem, jak byłby rad, gdybym go uwolnił od mojej osoby i ciągłego strachu. Zdecydowałem się nakoniec wyjechać konno i w uzbrojeniu, celem odszukania mych towarzyszów i prowadzenia dalej tego burzliwego żywota. Było to prawie szaleństwem, w owe czasy puszczać się w drogę jednemu uzbrojonemu człowiekowi, gdzie co kilka wiorst można było napotkać drobne komendy moskiewskie. Pan Bóg widać mnie chronił i kierował moje kroki, tak że przejechałem kilkanaście mil, nigdzie się nie natknąwszy na nieprzyjaciela. Całe moje szczęście, że kręcąc się od kilku miesięcy w tych stronach, znałem wybornie drogi i najmniejsze ścieżki, tak że w ciągu tej mojej trzydniowej donkiszotowskiej peregrynacji, jeden raz tylko wpadłem na Moskali pod Kanicami, lecz kozacy tak byli zajęci obrabianiem jakiegoś przejezdnego, sypiąc mu potężne batogi, że pomimo odległości nie większej jak 300 kroków, nie spostrzegli mnie. Zawróciłem konia z powrotem i krzakami, już nad wieczorem, zbliżyłem się pod Węgleszyn. Na drodze spotkałem parobków z końmi, którzy mnie objaśnili, że nie dalej jak przed godziną Moskale wyszli z Węgleszyna. Pół godziny przeto wcześniej, a byłbym im wlazł w ręce.

Przyjechałem do dworu, a miejscowy rządca, widząc mnie jednego, zdumiał się; od niego dowiedziałem się, że cała okolica jest napełniona nieprzyjacielem, zajętym ściganiem pojawiających się tu powstańców. Dalsza przeto moja podróż jest literalnie niemożebna. Ukrył więc mego konia, broń, ubrał mnie w jakąś starą odzież i zatrzymał na noc. W istocie tak byłem zmęczony trzydniową drogą, noclegami po lasach i ciągłą obawą o swój los, żem opadał ze sił. Nakarmiony należycie i w części spokojniejszy, zaprowadzony zostałem przez gospodarza na spoczynek do starego, niezamieszkałego dworu, gdzie wkrótce jak nieżywy usnąłem. Nad ranem słyszę naraz gwałtowny hałas i dobijanie się; zrywam się i dowiaduję, że Moskale otoczyli całą wieś i robią rewizją.

— No — pomyślałem sobie — poleć się Bogu i wleź w konopie; dziś będziesz miał to szczęście, zapoznać się z kozackiemi batogami.

Spróbowałem jednakże ukryć się; wybiłem okno i skoczyłem do ogrodu. Tutaj pod krzakiem porzyczek usiadłem w kuczki, oczekując, co dalej będzie. Traf mieć chce, że tuż obok mnie stawiają pieszego szyldwacha; można sobie wyobrazić przykładną cichość, jaką zachowywałem. Byłem jak wykuty z kamienia. Najmniejszy ruch, głośniejszy oddech, mógł stojący o trzy kroki żołnierz usłyszeć i wyciągnąć mnie z tej kryjówki. Przypominam sobie, że siedząc tak nieporuszony, przychodzi mi na myśl: a gdybym tak teraz kichnął! i nie wiem, czy imaginacja, czy rzeczywiście nerw nosowo-kichający był rozirytowany, dosyć że mi poczęło w nosie świdrować, łechtać w nozdrzach i o mało żem nie kichnął. Pochwyciłem nos silnie w garść, chcąc powstrzymać te niewczesne objawy, i w takiej klauzuli trzymałem zdrajcę do końca — w razie większego buntu, byłem prawie zdecydowany urwać go! Tak mnie wytrzymali dobrą godzinę, w ciągu której słyszałem hałas, rwetes i pomięszane głosy w starym dworze: nareszcie dobiegł mych uszów odgłos świstawki i cerber mój ruszył się, a za chwilę znikł mi z oczów. Cóż z tego? ale może nadejść drugi, nic bowiem nie wiem, co się dalej dzieje. Po kwadransie tej niepewności, doleciał mnie jakiś gwar polski, szukali mnie — i pokazuje się, że to była nieźla kryjówka, gdyż przechodzili koło tego krzaku i nie spostrzegli mnie wcale. Jęknąłem i przewróciłem się na ziemię, nie czułem nóg pod

sobą. tak mi pocierpły. Wyciągnięto nareszcie rycerza z tej fortecy, a zabawna moja mina i opowiadanie o buntowniczym nosie, pobudziła wszystkich do ogólnego śmiechu.

Przebyłem tu cały dzień namyślając się co dalej czynić, punktu wyjścia żadnego nie było, a ostatecznie trzeba było coś postanowić. Wszystko co mi przychodziło na myśl, było złe i nie do wykonania. Już wpadałem w pewien rodzaj apatji, zdając się na przeznaczenie, gdy odbieram wiadomość, że oddział Bogusza stoi o kilka wiorst, ubieram się w mój mundur, siadam na konia i bez namysłu udaję się we wskazanym mi kierunku. Ale widocznie los mnie prześladował, przybywszy dowiaduję się od gajowego, że przed godziną wyszli, ale gdzie? nie wie, zawiadamia mię tylko, że kozacy nie daleko. Nie było co namyślać się, ruszyłem lasem gdzie oczy poniosą i po dwugodzinnej podróży wyjechałem pod Oksę, a zasięgnąwszy języka od przechodzącej baby, że Moskali nie ma, puściłem się do dworu. Tutaj również wywołałem zdziwienie i poradzono mi niepróbować dalej szczęścia, schowano mi broń, konia, dostałem cywilne ubranie i za chwilę miałem minę spokojnego obywatela i wiernego poddanego. W Oksy przepędziłem parę tygodni, nic nie słysząc o powstańczych oddziałach i nie wiedząc co czynić dalej. Za każdem zbliżeniem się patroli moskiewskich, musiałem chować się po różnych dziurach, wątpiąc czy moja fizjognomia jest dostatecznie spokojna i bogobojna.

W takim stanie rzeczy, w początkach grudnia przyjeżdża pan P*** i pokazuje mi rozkaz naczelnika sił zbrojnych Województwa krakowskiego i Sandomierskiego Markowskiego, który po śmierci Chmielińskiego otrzymał tę zaszczytną ale nie zbyt godną zazdrości posadę, udać się z tą oto karteczką do Warszawy i złożyć ją w pewnem miejscu, nadmieniając przytem, że nie spodziewa się z mej strony odmowy, znając moje przywiązanie do sprawy, tem więcej, że tu idzie o rzecz nader ważną, wymagającą pośpiechu i pewności w doręczeniu we wskazanem miejscu, a co najważniejsza przywiezienia odpowiedzi, karteczka była maleńka, zapisana cała liczbami bardzo drobnemi. Rad nie rad, w obec tak natarczywego nalegania, oświadczyłem, że pojadę. Dostałem pieniędzy na drogę i tego samego dnia jeszcze, zaopatrzony w paszport jakiegoś wójta, jako gorzelany szukający miejsca puściłem się w tę arcyniebezpieczną podróż.

Jak się później przekonałem, paszport mój nie na wiele mógł mi się przydać, gdyż podług nowych papierów, nie miał wizy naczelnika powiatu i o mało, że pod Piotrkowem nie byłem aresztowany. Dzięki tylko przytomności pewnego obywatela i pijaństwu oficera moskiewskiego, udało mi się wydostać. W Piotrkowie uzyskałem wizę Naczelnika powiatu i tego samego dnia stanąłem o godzinie 9-tej wieczorem w Warszawie.

Na drugi dzień rano udałem się na wskazane miejsce, lecz nie zrozumiano mnie, obudziłem nawet postępowaniem mojem pewne podejrzenie. Po dłuższem objaśnieniu nakoniec zgodzono się przyjąć odemnie karteczkę, którą miałem zaszytą w czapce. Posiedzenie to odbyło się w jednej z cukierni. Na drugi dzień rano odebrałem odpowiedź z upomnieniem natychmiastowego wyjazdu. Karteczkę schowałem w podeszwę u buta.

Wracając z powrotem, puściłem się innym traktem, dojechałem koleją żelazną do Skierniewic a ztąd furmankami. Taką miałem instrukcję wyjeżdżając z Warszawy. Dowiedziałem się później, że marszruta ta była praktyczniejszą, w Piotrkowie bowiem wszyscy podróżni na kolei ulegali najściślejszej rewizji i indagacji. Wiek mój i niejasno określony powód podróży mógł obudzić podejrzenia i narazić mnie na przytrzymanie i smutne następstwa.

Ze Skierniewic przez Łyskowice udałem się w dalszą drogę, odsyłany od dworu do dworu rzemiennym dyszlem. Przez całą podróż spotkałem się dwa razy z Moskwą, raz około Rokicin na nasypie drogi żelaznej, ale patrol kozacki tak był zajęty romansem z Niemkami, że mię nawet nie zaczepili, a drugi raz za Piotrkowem, w leśnej osadzie Taras. Tu wpadłem na bitwę z powstańczym piechotnym oddziałem Rudowskiego, który do tej pory trzymał się jeszcze w Samsonowskich lasach. Wpadłem na piechotę moskiewską biegnącą i krzyczącą hurra! nawet nie zważali na mnie, przelecieli jak burza. W oddali słychać było co raz gęstsze strzały, o skutku jednak nie mogłem się dowiedzieć, gdyż natychmiast ruszyłem dalej i tego samego dnia przybyłem do Kurzelowa pod Włoszczową. Dziwna rzecz! pomimo że ta okolica była obsadzona gęściej jak inne Moskwą, jednakże w Kurzelowie czułem się śmielszym i bezpieczniejszym.

Na drugi dzień rano doręczyłem panu P*** odpowiedź, z którą się natychmiast udał dalej. Podróż moja tam i napowrót trwała dni jedenaście. Przejechawszy w połowie grudnia 1863 roku 25 mil kraju obsadzonego wszędzie wojskiem i patrolami, musiałem przyznać sobie, żem dokazał prawdziwej sztuki. Z powrotem dopiero dowiedziałem się, że wysłany byłem do Rządu Narodowego, z zapytaniem, czy utrzymywać nadal zbrojne powstanie, co jest prawie niemożebnem, czy też zaprzestać? Odpowiedź brzmiała: przedłużyć powstanie wszelkiemi siłami do wiosny.

Powstanie zostało rzeczywiście przedłużone, ale zupełnie nie skutkiem przywiezionego przezemnie rozkazu Rządu Narodowego, ale poprostu dla tej przyczyny, że garstki powstańców, więcej skompromitowanych, których czekała szubienica lub wieczny Sybir zapowrotem do domu, chcąc nie chcąc musiały się trzymać i ukrywać po lasach. Nie było punktu wyjścia dla tych biedaków i nie jeden przekładał śmierć z bronią w ręku, jak powolne a długie męczarnie. Do liczby takich potępieńców i ja należałem i nie chcąc być wcześniej lub później złapanym, zmuszony byłem siąść na koń i przyłączyć się do jakiej gromadki włóczęgów i oczekiwać dalszych następstw, doli lub niedoli.

W okolicach Włoszczowy po moim przyjeździe z Warszawy, kręciły się niedobitki Chmielińskiego pod wodzą Rzewuskiego Napoleona, który się przezwał od herbu swego „Krzywdą“ i Bogusza, przenosząc się z miejsca na miejsce, jak dziki zwierz tropiony przez ogary. Jakoś w parę dni po Bożem Narodzeniu, dowiedziałem się, że Krzywda, który objął komendę po Markowskim, stoi niedaleko, mianowicie w Krzepinie. Siadłem przeto na koń i wyruszyłem jak prawdziwy awanturnik widocznie szukający guza, na każdym kroku narażając się na śmierć lub niewolę. Ujechawszy z pół mili, wstąpiłem do dworu w Dąbiu, chcąc się przepytać o nieprzyjaciela. Ledwie zsiadłem z konia, gdy dano znać, że kozacy we wsi. O ucieczce ani myśleć, gdyż konia odprowadzili do stajni, wbiegłem przeto do dworu, odpasałem szablę i rewolwer, i takowe wsunąłem za łóżko. Sam nie mając się gdzie skryć, gdyż dwór stał na odkrytem miejscu a i czasu już nie było potemu, usiadłem za stołem i zabrałem się do wniesionej kawy, zdając się zupełnie na przeznaczenie. Gospodarstwo w panicznym strachu stracili zupełnie głowę, obawa o mój los, obawa o siebie, czyniła ich prawie nieprzytomnemi. Katastrofa zdawała się być nieuniknioną.

Za chwilę ujrzeliśmy kozaków na podwórzu i oficer wszedł do pokoju. Gospodarz oprzytomniawszy trochę, prosił go do kawy, oficer siadł i oświadczył, że szuka powstańców, że ludzi ma pomęczonych i chciałby trochę odpocząć. Pan M*** zaprasza go usilnie żeby odpoczął, pozwolił nakarmić swoich ludzi i popaść konie, na co zgodził się z ochotą. Przez cały czas gawędka była o powstaniu, oficerzyna, nie zły jakiś człowiek, dowodził, że powstanie już prawie skończone, że tułające się tu i ówdzie bandy, będą wkrótce ze szczętem wytępione, litując się nad ludźmi, których okoliczności postawiły w tak smutnem położeniu, dowodząc przytem, że najrozsądniej by uczynili, gdyby złożyli broń i rozeszli się do domów, polegając na wspaniałomyślności rządu, który jak mu się zdaje nie karałby tak surowo przestępców, jak sobie powstańcy wyobrażają. Do dysputy tej i ja należałem, potakując lub spierając się o zdania ze swym interlokutorem. Czy to zobowiązany gościnnem przyjęciem gospodarstwa, czy też, że nie znalazł nic takiego, coby mogło obudzić jego podejrzenie, a może po prostu przez pewien rodzaj delikatności tak rzadkiej w Moskalu, dosyć, że nie kazał nawet zrobić rewizji, chociaż po to przyjechał, i odjechał nie zapytawszy się nawet kto jest ten młody człowiek, co tu porabia i czem się zajmuje, jak to gdzie indziej robiono. Zapytaniem takiem byłby zmięszał gospodarza na pewno, jako nie przygotowanego i rzeczy byłyby przybrały inny charakter. Widocznie była w tem wola nieba, chroniąca mnie od niewoli i barbarzyńskiego obejścia.

Po wyjeździe kozaków odetchnęliśmy, winszując sobie nawzajem, i dopiero wtedy spostrzegliśmy, że byłem w spodniach kawaleryjskich, podszytych skórą i z ostrogami u butów. Zdjąć bowiem tego kostiumu nie było czasu. Poczciwa pani M*** będąc pod przykrem wrażeniem i w ciągłej emocji, tak osłabła, że musieli ją zanieść do łóżka, a ja przywdziawszy na siebie swój rycerski uniform, ruszyłem dalej, i w parę godzin złączyłem się w Krasocinie z oddziałem Krzywdy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NAGRODA CNOTY.

Dnia 5. sierpnia r. b. Akademja francuska odbyła swe doroczne posiedzenie, na którem rozdane zostały nagrody Montyona.

Wiktoryn Sardou przewodniczył tym razem uroczystemu aktowi i przy tej okazji wygłosił mowę inauguracyjną, która w Paryżu powszechne wzbudziła zajęcie. Autor „Rodziny Benoiton“ i Daniela Rochat“ wziął sobie za za-

danie odeprzeć zarzuty, czynione w ostatnich czasach tej filantropijnej fundacji, którą nazwano przedawniałą względnie do dzisiejszych pojęć o cnocie.

— Cnota nie potrzebuje być urzędownie nagradzaną, cnoty nie należy poniżać jakiemiś konkursami i premjami! — utrzymują dzisiejsi nowatorzy i moraliści.

Otóż co im na to odpowiada Sardou:

„Po co, mówią niektórzy, pod tytułem nagrody opłacać cnotę pieniądzmi? P. Montyon — nie należy o tem nigdy zapominać — nie miał wcale zamiaru datkiem pieniężnym wynagradzać cnoty, której prawdziwa nagroda nie jest z tego świata. Widział on potrzebnych, którzy o swojej nędzy zapominali, wspomagając niedolę sobie równych; i takim to polecił rozdawać pochwały i pieniądze. Pochwałę dla ich zasług, pieniądze dla ich ubóstwa.

„Ale już nie tylko nadgrody pieniężne zasłużyły na zarzuty; sprawa ich dawniejszy obrót wzięła. Dzisiaj już samej instytucji wypowiedziano kampanję.„ Zdarzy się wam spotkać przyjaciela, który was zagabnie słowami:

— Jakto? więc macie cnotę wieńczyć?... a nie czekając waszej odpowiedzi powie dalej — mój Boże, słyszę go, jak mówi: „Tradycja!.. dobrze ale przyznacie mi, że tradycja się postarzała i djabelnie znać na niej epokę, w której powstała. Ten areopag, te palmy mieszczańskie!...

„I przyjaciel wasz odejdzie uśmiechając się.

„Dla czego ten uśmiech?

„Albośmy to mniej dobroczynni od naszych ojców? Przeciwnie! Nigdy dobroczynność publiczna nie działała więcej, jak właśnie teraz; ale jeżeli fundacja p. Montynna, jako echo dawniejszych czasów, do pewnego stopnia dziwną się wydaje, to chyba dla tego, że przyznajmy szczerze, cnota przestała być modą. Nie powiem nic nowego, twierdząc, że wpływom mody ulega wszystko, literatura, sztuki, przemysł, umiejętność, nawet polityka, a i filantropja nie jest od tego wpływu zupełnie wolną. W wieku XVIII nic nie było równie modnem, jak właśnie cnota. Nigdy nie sławiono więcej i nie praktykowano tylu różnych cnót, co wówczas, a p. Montyon posłusznym był tylko duchowi swego wieku, stawiając cnocie ołtarz, prawie całą świątynię w roku 1782.

„Ale jakżeż wiek XIX to wszystko odmienił!...

„Cnota!.. prawie się nią nie zajmują, a już o pochwałach i o jej sławieniu mowy nie ma.

„Filantropja naszego wieku poszła innym torem.

„Mniej się ona troszczy pochwałą pięknych uczynków, złym raczej przepuszczając częściej pobłażliwie, dla łagodzących okoliczności.

„Nie cnotliwy zajmuje nas dzisiaj, ale złoczyńca.

„Nowa filozofja, powołująca się na powagę nauki i umiejętności, nie chce w człowieku niczego więcej się dopatrzeć nad jakiś zlepek materji; orzekła ona przeto, iż moralność zawisła tylko od równowagi ludzkich zmysłów.

„Ponieważ ta teorja pomiędzy lekarzami wielu znalazła zwolenników, nic dziwnego, iż w ludzkości widzi wszędzie tylko chorych.

„Każdy złoczyńca jest też według niej pozbawiony wewnętrznej równowagi; jego złe instynkta są wynikiem chorobliwego, często odziedziczonego stanu, który pogorszyły stosunki, otoczenie, a za który nawet niepodobna go czynić odpowiedzialnym.

„Nie zasługuje on tyle na oburzenie, ile na litość raczej.

„Potrzeba mieć dla niego współczucie, o ile możności leczyć go, a przedewszystkiem wprawiać w stan, w którymby nie mógł źle czynić.

„Nie można mieć dla niego wstrętu, a wkrótce nie będzie można go karcić.

„Bo i po co to karcenie? chorego się przecie leczyć ale nie karać zwykło.

„Na pierwszy rzut oka pojęcie to ma swoją ponętną stronę.

„Zapewne, — miałoby się ochotę wmówić w siebie samego, że te potwory, których zbrodnie przerażeniem nas przejmują, są rzeczywiście potworami, t. j. istotami, które po za granicami natury stoją.

„Zbrodniarz, według tego, znaczyłby ni mniej ni więcej — tylko tyle, co obłąkany.

„Co za ułatwienie, ale też, jaki pociąg do usprawiedliwienia winy na podstawie takiej zasady!...

„Gdyby zresztą te niebezpieczne teorje sprawiały to jedynie, że bez wszelkiej racji obdarzalibyśmy współczuciem naszem zbrodniarzy i złoczyńców, — ale one o wiele gorsze sprowadzają skutki.

„Z pobłażliwości dla występku, nieznacznie, niepostrzeżenie schodzimy ku obojętności i pokrzywdzaniu cnoty.

„Przyzwyczaiwszy się spoglądać na najwstrętniejsze czyny bez grozy i oburzenia, możemy później bez entuzjazmu patrzeć na najwznioślejsze i najszlachetniejsze uczynki.

„Filozofja, którąśmy wyżej wspomnieli doprowadza nas na drodze logiki do tego wreszcie rezultatu w rozumowaniu:

„Jeżeli zbrodniarz nie jest karygodnym, dla tego że był posłusznym swoim skłonnościom do złego, to i zasługa ludzi dobrze czyniących nie jest godną uznania, gdyż jest naturalnym wynikiem inklinacji ku dobremu.

„Jeżeli zatem takie postępowanie nie jest zasługą, to i uznanie się mu nie należy, i udzielanie nagród jest niepotrzebnem...

„Powiadają zresztą, że to jest manja rozdawania nagród, manja jak wiele innych, jak n. p. manja brania wszystkiego, gdzie i co się zdarzy.

„Po co i na co kogoś tam nagradzać?... dla czego?

„Wszakżeż ludzie dobrzy sami przez się są szczęśliwymi, po co nam się jeszcze do nich wtrącać?...

„Oto ostatnie słowa tej pięknej filozofji.

„Jeżeli ona coraz więcej znajdzie wyznawców, to nie będzie nic w tem dziwnego, iż cnota straci swych wielbicieli, a fundusz p. Montyona wyda się dziwactwem.

„Powinszujmy sobie wszelako, żeśmy zdrową tradycję nagradzania cnoty, jako protest francuskiego *bon sens* przeciw destrukcyjnym teorjom przechowali i powiedzmy na naszą chlubę, że uznajemy tu tylko tę jedną moralność, ograniczoną po prostu do starej zasady: miłuj dobre, brzydź się złem.

„Stara to metoda, ale dobra."

Po tym wstępie, który zapewne w obozie przeciwnym, nie tylko we Francji — znajdzie wielu krytyków, mówca przeszedł do szczegółowego wyliczania zasług laureatów których w tym roku zebrało się sześćdziesięciu; pomiędzy nimi czterdzieści siedm kobiet.

Co roku stosunek ten bywa prawie taki sam. Wszędzie, gdzie niedola, cierpienie, rozpacz — tam zjawia się kobieta. Chciałoby się uwierzyć niemal, mówi Sardou, że nieszczęścia po to na ten świat przychodzą, aby kobiecie dać sposobność okazania się dobroczynną i litościwą.

W tym frazesie odsłonił się Francuz, zawsze grzeczny dla płci pięknej i przy każdej sposobności gotów z komplementem wyszukanym dla kobiet.

Tym razem pod formą komplementu kryje się wielka prawda.

JASKÓŁKA

NOWELLA

LEONA SAMSONOWA

(przekład z rosyjskiego).

(Ciąg dalszy.)

Przyjechaliśmy do Kijowa w noc późną. Nalatawszy się do syta po wszyststkich ulicach i placach, stanęliśmy nareszcie u dawnego znajomego naszego, Diakowa, w hotelu »Rosja«. Roztasowałem się jak książę. Jeden numer dla Leneczki, Niunieczki, mamki i dwóch wiewiórek; drugi dla mnie i dla Karł Karłycza, t. j. dla pieska. Zwał się on przódy z francuska »Karo«, lecz za dziesięcioletnią wierną służbę, awansowaliśmy go na Karł Karłowicza *)

Rozpoczęły się przedstawienia. Do domu zaglądałem tylko jako lekarz. Bo i jakże inaczej?... To pranie pieluszek, koryto, woda letnia... a za Dnieprem w ogródku jak w raju, powietrze prześliczne piwo cudowne, raki doskonałe, nie mówiąc nic o winie, co także nie bez powabu!

Zanim sierpień upłynął, zaszło kilka nadzwyczajnie ważnych wypadków: — Wyobraź sobie Leonku, Niunia dwa ząbki już ma! Wyobraź sobie Leonku, Niunieczka już cztery ząbki ma! Wyobraź sobie Leonku, Funke (lekarz) powiada, że trzeba juz ospę zaszczepić! Wyobraź sobie Leonku, że ospa przyjęła się jak najlepiej! Sam Funke powiada, że to bardzo rzadki wypadek! Ale przypatrz się jej tylko!... A co, widzisz jaka ona już, widzisz?!.. Agu, agusieńki, agu, aniołku ty mój!...

Diecko się uśmiechnęło.

— Uśmiecha się już, uśmiecha!... Cha, cha, cha, cha!... O moje ty dziecię, o moja ty drobinko droga! Mamko, podaj pieluszki.

Oho, już mnie nie ma! Koryto, woda, gąbka... nie głupim! — i znalazłem się niebawem w ogródku za Dnieprem. Od-

*) «Karł Karłowicz«, czyli przez skrócenie «Karł Karłycz», znaczy Karol syn Karola; lecz, że nazwa «Karol« okazała się dość pospolitą pomiędzy Niemcami petersburgskimi, Rosjanie utworzyli z niej zbiorową nazwę na każdego Niemca, których nie bardzo lubią. Nadanie więc psu nazwy «Karł Karłowicza» zakrawa na aluzję wesołą do Niemców, wysługujących się rządowi.

dycham pełną piersią. Noc; rzeka cicho płynie, powietrze balsamiczne, liście drzew ani zadrżą... W tem zorza już, wschód szkarłatem spłonął, liście drzew westchnęły i nagle, jakby kto je złotem okrasił. Zapatrzyłem sie na zielony krzak jaśminu i i na tle migających srebrem kropel rosy na liściach zdało mi się, iż widzę wśród pęków kwiatu śnieżnego jakąś twarzyczkę... A to co takiego?... Uśmiechnęła się... Tfu, zgiń, przepadnij!... Dosyć już tego panowie — zawołałem; — czas wracać do domu, bo inaczej spijemy się aż do postradania zmysłów...

Klucz od mieszkania — bo jużeśmy od dawna preprowadzili się byli z hotelu do prywatnego mieszkania — klucz jeden był u mnie, a drugi Leneczka miała.

Słońce dawno już było weszło. Już szli cieśle, murarze, mleczarki; ciągnęły już fury z warzywem do miasta; lud roboczy spieszył zewsząd do pracy. A ja!... No ty, czego się wleczesz, jakbyś łapcie plótł; wieź, kiedyś się podjął! Jutro, to jest chciałem powiedzieć... dziś, o dziesiątej trzeba mi już być przy stoliku. — To wy panie, lepiej byście zrobili, gdybyście byli wczoraj położyli się spać, a nie to całą noc...— Milcz durniu jakiś, ruszaj! — Dla czegoż nie milczeć; i owszem, i to można. No srokaty, wio, wio!... ratuj Radziwiła! i zamachał biczyskiem w powietrzu.

Jeszcze szelma szydzi ze mnie!

Chciałem zaraz się położyć, lecz przyszło mi na myśl, czy nie zapomniała czasami mamka zamknąć lufcika? Dziewczynka gotowa jeszcze się przeziębić, a wtedy znów doktor, apteka, koryto... Wchodzę na palcach; nie, nie zapomniała. Pali się lampka nocna na stole, a mamka spi. O już co to, to nie powinno być; jutro koniecznie muszę jej zrobić wymówkę! Lampka powinna być w kącie pokoju za komodą, bo inaczej może teraz się obudziła i nie spi?... Podjąłem muszlinową zasłonkę — spi. Rozrzuciła rączki, promień słońca padł na jej twarzyczkę, zaruszały się usteczka... z pewnością zdaje się jej we śnie, iż ssie pierś bujną. Bóg z tobą dziecino moja; spij, spij spokojnie! Ile to ząbków mówiła Leneczka? Cztery? Nie, nie cztery; cztery było przed miesiącem, tak przed miesiącem; a teraz mówiła podobno, że sześć czy siedm? Zdaje się, że sześć tylko. Wyrzynanie się ząbków, to przecież epoka najcięższa dla dzieci! O, trzeba ją dobrze pilnować, koniecznie dobrze pilnować! Funke powiada, że... A tu koniec sierpnia zapasem i trzeba będzie ruszać do Odesy... W wagonach gorąco nieznośne a przytem, wieje... co zrobię! Wezmę osobne coupé, tak będzie najlepiej. W Odesie płacą dobrzea zresztą od czegoż jestem reżyserem w dodatku - Niechże gaża reżyserska cała idzie na Niunię. Nie inaczej jak w coupé, nie inaczej; inaczej nie można!...

Puściliśmy się w sierpniu w drogę; na każdem przesiadaniu zwykłe sprawdzanie: Leneczka, Niunieczka, mamka, dwie wiewiórki, Karł Karłycz — i kanarek!

Odesa, to stare moje, dobrze mi znane pogorzelisko. Tam mi spłonęły najpiękniejsze lata życia mojego.

Dawaliśmy przedstawienia co dzień, nawet w sobotę. Pewnego razu wróciłem z repetycji do domu zmordowany i znudzony jak rzadko, rozmaitemi głupstwami, pretensjami, wydawaniem rozporządzeń itd. i czekając na objad rzuciłem się na kanapę, założywszy ręce pod głowę.

— Ta-to! — nagle zadźwięczał nademną jakiś głosik srebrny.

Zerwałem się i usiadłem. Przedemną stała Leneczka trzymając dziewczynkę w śnieżnem muślinowem długiem okryciu, obszytem koronką tiulową, w czapeczce z różowemi wstążeczkami. Oczęta i twarzyczka uśmiechały się, rączki wyciągnięte...

— No, pocałuj tatę, pocałuj, moja dziecinko.

Nachyliła się ku mnie — mokre usteczka pomaczały lewy policzek, a rączętami wpiła się w czuprynę.

— Weź-że ją na ręce, weź...

— Ale jakże to, jakże... jeszczem gotów upuścić, i sam nie wiem dla czego zdetonowałem się, ażem poczerwieniał.

— Nie podnoś się, siedź i tak ją trzymaj.

Wziąłem, trzymam — jakoś szczęśliwie; nic się złego nie stało. Uczepiła się tylko włosów, i ani ją oderwać; coraz to targnie i tarmosi w najlepsze.

— A zobacz-no tylko jak ona się kąpie! Ty tylko zobacz jak siądzie, rączętami pluś, pluś po wodzie a sama się śmieje!

— Więc już nie koryto?

— Nie, nie koryto. Oddawna jużem kupiła wanienkę.

Poszedłem i patrzę. Istotnie pluś, pluś rączętami po wodzie a sama się śmieje!

— Wiesz co Leneczko — mówię do żony — trzeba jej kupić wózek śliczny, wozić po plantacjach, w palerojalu... Jutro mój benefis, możesz śmiało kupić, nie będzie to dla mnie za ciężko.

— Kup, kup!— powiada żona, a sama się śmieje.

— Czego się ty śmiejesz?

— Nic, nic... tak sobie. Idź, siadaj do obiadu, a *my* zaraz przyjdziemy — i znów się śmieje kobieta.

— Ta-to, ta-to! woła za mną odchodzącym — klaszcząc w rączki dzieweczka.

— Patrz ją, jaka z niej *zajadła* dziewczyna!... Jak się uczepiła, tak ani rusz! Poczekaj Leneczko!... i ja kiedyś będę tryumfował — pomyślałem sobie poprawiając włosy.

Wkrótce mieliśmy nie małe zmartwienie. Zachorowała mi żona obłożnie, a tu jak raz wypadało odłączyć dziecię od piersi i poszukać niańki. Znalazłem nareszcie. Na oko, niczego; czysta, potulna, cicha, umyta, coś w rodzaju kotki; poczęła była nawet coś tam szyć dla dziecka... Lecz pięknego poranku, wszedłszy z nienacka do dziecinnego pokoju, byłem świadkiem jak uderzyła Niunię tak silnie po plecach, że dziecko omal nie spadło z kanapy. Nie wiem już jak tam było, dość, że niańka w jednej chwili wyleciała na korytarz, aż się łbem palnęła o ścianę...

— Ja do mirowego*)... I owszem ruszaj szelmo ty jakaś!... Leonku, Leonku!... wołała żona powstrzymując. A niech ją piorun trzaśnie! A to szelma!... Bić takie dzieciątko maleńkie!...

Znalałem drugą. Była nią wdowa po kapitanie, pani kapitanowa. »Sama miałam siedmioro, a dziś tylko jedno.« Nie mam nic do zarzucenia, bardzo dobrze. Ta jedna z początku przychodziła rzadko, później poczęła nocować, a nareszcie skończyło się na tem, że całkiem przeniosła się do nas.

Miałem wtenczas zajęcia po uszy; pracowałem jak wół. Przedstawienia dwa razy dziennie, a oprócz tego trzeba było jeszcze odczytywać nowe sztuki, przysposabiać je na scenę... Bywało człowiek zaledwie zdrzemnie, a żona już budzi: już pora, wstawaj! powiada.

— Gdzie, co takiego?!... Czy to już ranek, czy wieczór? pytałem nieraz.

Otóż tedy, ta pani kapitanowa, wyborny sen zawsze miała. Bywało tak chrapie, że aż szyby się trzęsą. Dziecko płacze, krzyczy, drze się, że serce pęka, a kapitanowa ani myśli wstać do kołyski. Wstajemy więc sami i budzimy kapitanowę... Razu pewnego znalazłem dziecko posiniałe z krzyku. Żona pomimo mocnego bolu dokuczającego jej srodze, także wstała i jak mogła przywlekła się do kołyski. A kapitanowa jak śpi, tak śpi. Ja ją za kark i za drzwi: Won kanalja!... Jak pan śmiesz! ja nie prosta jakaś, ja kapitanowa! A pleć mi tam, że ty kapitanowa!... Ja dziś króla grałem, a jutro generała grać będę... Wynoś się pókiś cała!... Nie kapitanową, lecz człowiekiem trzeba być! Won!...

Wojna z niańkami jakoś się nareszcie skończyła. Lecz stan zdrowia Leneczki, wciąż mi nie dawał pokoju. Co tu robić? Post już się zbliża, mnie znów angażują do Kijowa, lecz czyż mogę wieźć z sobą żonę, w takim jak jest stanie? Samemu zaś jechać, zostawiwszy żonę w Odesie także niepodobna. Z powodu jej cierpień mogłem wydalić się z domu najwięcej na godzin siedm. Przyszło już do tego, że musiałem robić dziennie ośm zastrzykiwań, po dwa na raz. Ja znią, jak bracia siamscy; rozstać się na żaden sposób nie możemy. A lekarza wziąć, także nie sposób; nie byłem bowiem wstanie co dzień mu płacić za cztery wizyty. Wpadłem na myśl nająć siostrę miłosierdzia, lecz siostra miłosierdzia przychodziła bardzo nieregularnie. »Zatrzymali mie w szpitalu«, »w domu nieszczęście«, i zdarzyło się raz tak, dzięki nieakuratności siostry miłosierdzia, że Leneczka dostała takiego ataku, że zaledwie zdołano przywrócić ją do przytomności za pomocą kawy i atropny.

Nie wiem, moi państwo, czy interesują was wyrywki moje z pamiętników, które od lat ośmnastu regularnie prowadzę? Mogę przynajmniej zaręczyć wam jedno: że to moje opowiadanie, jak wszystkie poprzednie

---

*) Do sędziego pokoju.

jest najściślejszą prawdą, bez żadnego wymysłu i bez żadnego dodatku. Żem wszystko co czytacie widział lub przecierpiał, o tem nie ja jeden mogę was upewnić. Dziesiątki mych kolegów, mogą tak samo zaświadczyć. »Drobiazgi życia!« powiecie. Tak, to prawda, ale te drobnostki kropla po kropli sączyły mi krew, zostawiając jednocześnie na duchu jakieś znaki, bardzo bolesne i bardzo czarne...

Zdecydowałem się tedy tak: pożegnać się na czas pewien z deskami, wiosnę i lato przepędzić na wsi, a jesienią znów wstąpić do odeskiego teatru. Na wielkiej Fontannie, o 10 wiorst od Odesy nad brzegiem morskim, można było nająć willę za bardzo tanie pieniądze. Środki były po temu, a mianowicie ów przyszły sezon zimowy w Odesie. Jak nie wystarczy, to dostarczę sobie od starych mych przyjaciół żydów. Oni i tak już gniewają się na mnie. Wy panie, pan Samsonow, powiadają, bardzoście zhardzieli. A to jak? Przedtem bywało i pieniądześ pan pożyczał, i stare rzeczy sprzedawał, a teraz nic... My do pana całem sercem, a pan odwracasz się od nas!

Com postanowił, tom zrobił. Nająłem willę za 140 rubli na pięć całych miesięcy, od kwietnia do końca września. Podczas lata pisałem o »sztuce dramatycznej na prowincji«, czytałem bardzo dużo, Niunieczkę moją woziłem w wózku po polach, łąkach i brzegach morskich; zbierałem dla niej kwiatki, muszelki, kamyczki... zapuściłem brodę... wybiłem pokojówkę, przyczem przewróciłem sagan z wrzątkiem i oblałem letnie moje spodnie... Ale jakoś wszystko dobrze poszło.

Zdrowie Leneczki znacznie się poprawiło, Niunieczka dostała kolorków, pokojówka nie chodziła na skargę do sędziego pokoju, spodniom nic się nie stało, do żydów nie udawałem się, a tylko wziąłem zaliczkę u entreprenera, 500 rubli na wypłatę...

Nadeszła jesień, wróciłem do teatru. Przez cały sezon żyłem po królewsku. Pobierałem pensji 400 rubli miesięcznie, a oprócz tego miałem trzy benefisy, z których każdy dał mi po 700 rubli czystego. Co za siły miał wtedy człowiek! Dziś nie pojmuję nawet, jak mogłem wtedy wystarczyć wszystkiemu. O pół do dziewiątej do trzeciej, na repetycji; rozdaję role, stanowię jakie mają być dekoracje, jakie umeblowanie a jaki układ scen, a nareszcie sam uczę się mojej własnej roli; potem, zaledwie człowiek zje obiad, o godzinie pół do szóstej wieczorem znów idzie do teatru. Naturalnie, że nie obyło się bez tego, ażebym czasami nie pytał: czy to poranek, czy wieczór, Leneczko?... Bywało po skończonym teatrze pędzisz dorożką do domu dla spełnienia funkcji lekarskiej, i zamiast tego, ażeby wytrzymać i w domu pozostać — nie, idziesz na kolację z kolegami! Ostrygi angielskie, bulion, kuropatwy, jarząbki, kawa z koniakiem. Jakże tu w domu pozostać!...

Wróci bywało człowiek do domu o godzinie 6. lub 7. z rana, zaśnie do 9. umyje się, ubierze dwa ukłócia, a potem znów do teatru! Siły podtrzymywały się jedynie dwugodzinnym snem poobiednim.

A dzieweczka moja tymczasem rosła i rosła. Podobało się jej nadzwyczajnie gotować. Trzeba wiedzieć, że na żonę moją napadały niekiedy paroksyzmy kuchmistrzowania. Nieraz bywało, siedzi sobie spokojnie, aż tu raptem ni z tego ni z owego oświadcza: Leonku! Wszystkie te potrawy z restauracji obrzydły mi do reszty. Wiesz co, upiekę ci ja sama jutro chrustu i zobaczysz jaką ci potrawkę z makaronem zgotuję na sosie musztardowym! Dobrze? Dobrze.

A dzieweczka wszystko to uważała. Weźmie bywało popielniczkę i poczyna mięszać patyczkiem. A to co takiego? To, tato, makajon dla ciebie — i śmieje się.

Kupiłem jej tedy dziecinną kuchenkę dla zabawki i kazałem zrobić stoliczek z wystawką do wieszania rądeleczków, tartek, siteczka i t. d. Stolarz teatralny zrobił, a nawet jak najpiękniej odpoliturował; za dwa ruble i pół.

Pewnego jakoś razu począłem przy niej wybierać perukę do roli doktora w sztuce: »Skandal w rodzinie szlachetnej.« Ta-to-o, co-o to takiego! — klasnęła w rączki.— Ty biaji stajusek!— Widzisz, dziecko moje, dziś będę grał staruszka; wiesz, staruszka, co to tak chodzi i szepleni szam... szam... szam..., bo już zęby potracił.

Włożyłem perukę i udałem przed nią staruszka. — Cha, cha, cha!... śmiała się dzieweczka wielce ucieszona, aż oczęta łzami zaszły.

— A ja ząbki mam. Weź mnie!

— Do teatru?

— Tak.

Wziąłem. Znalazłszy się za kulisami, z początku poglądała nieśmiało, potem oswoiła się i poczęła biegać po scenie. Biegając tak tędy i owędy, naleciała rączkami na kurtynę, myśląc że to ściana, i upadła. Przestraszyła się i w płacz. Lecz z bufetu w sam czas pomarańcza na pociechę nadbiegła — i już wszystko dobrze.

Potem wziąłem ją na ręce i podniosłem na wysokość dziurki w kurtynie. Wytrzeszczyła oczęta.

— Co oni tam lobią?

— Oni, dziecię moje, przyszli patrzeć jak my grać będziemy.

— Stajuska w bokobjodach?

— W bokobrodach, dzieweczko, bielutkich jak szron.

— Krotkow, dajcie znak do uwertury! Leneczko, zabierz dziecię.

I wkrótce stała się ona dzieweczką *teatralną* w całem znaczeniu tego wyrazu. »Weź mnie i weź mnie» — i rób co chcesz! Znali ją wszyscy. A już co muzyka, to była dla niej najmilszą. Siedzi sobie bywało w loży na kolanach u mamy, założy nóżki na rampę i smakując »pomajancię», takt nóżkami wybija. Grałem ja jakoś raz »Suczynę» Ostrowskiego. W trzecim akcie teść z przyjacielem obdzierają do nitki nieszczęśliwego Kisielnikowa. Ten pozostaje na scenie i poczyna łkać boleśnie: »Ach dzieci moje, moje biedne dzieci!»...

— Ta-to — zadźwięczał na balkonie głosik dziecięcy.

Ale pewnego razu zdemaskowała mnie fatalnie! I dostało się mi jak rzadko! Nie od niej naturalnie, ale od Leneczki. Rzecz była taka:

Spełniwszy po teatrze obowiązek mój w domu, pod kłamanym pretekstem uciekłem na kolację. Były ostrygi, angielski oel, buljon, kuropatwy, jarząbki, deser, szampańskie, czarna kawa z koniakiem i prawdziwe papierosy tureckie; ale to powiadam państwu, wprost z sułtańskiego haremu.

A kolacjowałem wtedy z dwiema najwdzięczniejszemi i najdowcipniejszemi aktorkami naszemi i z mężem jednej z nich. Po kolacji odwiozłem małżeństwo do ich mieszkania. Mąż wysiadł, odprowadził żonę aż do samych wrót, zadzwonił i mówi (tonem dość jak na męża walecznym): — Droga moja, idź spocznij, dobranoc (tu całus czuły), a my z Leonem Mikołajewiczem pojedziemy jeszcze na dworzec kolei żelaznej. — Jakto, o czwartej w nocy, a to po co? — Bo to, widzisz, pociąg przyjdzie, przyjdą świeże gazety, a czasy bardzo ciekawe. — Jedźcie już sobie, jedźcie — i poszła, a my na miasto. Dość, że wróciło się do domu bardzo wcześnie — bo jak raz o pół do dziewiątej z rana. To tak gazetyśmy czytali.... Umyłem się, ubrałem wypiłem filiżankę tęgiej herbatv, i jakby nigdy nic, ruszam do Leneczki spełnić funkcję lekarską. Patrzę, nie śpi, i spogląda na mnie bardzo pilnie.

— No, moja Leneczko, dzień dobry duszko; pozwól, niech ci prędzej dam morfinę. Nie mam czasu.

— A gdzież to pan byłeś aż dotąd?

— Jak to gdzie?... spałem. Tylkom co wstał.

— Kłamiesz. Niunieczka chodziła ci oddać dzieńdobry, a nie znalazła ciebie.

— Ty tato w domu nie spał, luziećko było plóźne.

— Sliczna rzecz, to mnie szpiegują!... No, Leneczko, pozwól-że, bo nie mam czasu gadać tu z wami, pora już na repetycję...

Uciekłem. Zburczałem nie wiedzieć za co stróża, zastępcę... a podczas repetycji ciągle tylko myślałem, jakby to maleństwo oduczyć od donoszenia. Bo cóż może wyjść z tego?... Poczną się narzekania, kwasy domowe, a Leneczki zdrowie tak jest słabe...

Przyjechałem do domu groźny, że ani mi się pokazuj! Zdejmuję palto:

— Co to jest, że nie ma nikogo, ażeby wziął odemnie palto?!...

— Tatećko, tato — zatuptały nóżki z bawialnego pokoju. — Pajto daj, ja weźmę pajto! Tato objad chce. A dlaczegoś się ze mną nie przywital wprzódy, to niegrzecznie.

Sięgnęła po dłoń moją, wyciągając usteczka, zaplątała się w palto — i bęc na ziemię! Zaśmiała się. Krzycz-że na nią

kto teraz, jeśliś taki mądry! Siedliśmy do stołu. Niunieczka naprzeciw mnie w wysokiem swem krzesełku z przegródką. Po za mną, nad kanapą wisiało duże lustro. Weźmie łyżkę do ust, patrzy w lustro i śmieje się.

— Tato, patrz, i tam dzieweczka je.

Podniosła się nieco i paluszkiem wskazując naprzód, nagina się, jakby chciała dostać aż do lustra. Gniewaj-że się na nią, kto może! Cóż u licha, ani weź przyczepić się do nikogo! Okazało się nareszcie, że nawet niańka, i ta nie winna; nie mogła odemnie wziąść paltota, z tej prostej przyczyny, bo chodziła po naftę.

— Leneczko?

— Co takiego?

— A może co trzeba dla Niuni?

— Nic nie trzeba.

— No, jeśli nic, to nic! — Rozgniewałem się i cisnąłem serwetę na stół, a siebie na kanapę.

Podczas następnego postu wyjechaliśmy do Kijowa. Na każdym przestanku sprawdzanie: Leneczka, Niunieczka, mam... — przepraszam, niańka — wiewiórka (już tylko jedna; druga w ziemi spoczywa szczerze łzami zroszona), Karł Karłycz i kanarek! Karł Karłycz wpakował się pomiędzy Leneczkę i niańkę, nastawił ostrzyżone uszy, spojrzał czy czego nie brakuje, raptem podniósł głowę, liznął Niunię po twarzyczce, zarył się jeszcze głębiej pomiędzy salopy, i spokojny już, że wszystko w porządku, zwinął się w kłębek i począł snuć dalej psie swoje dumy; jak on to będzie (niech-no tylko wiosna nadejdzie), jak on to będzie na spacer chodził z Niunią w Kijowie, jak będzie strzegł, a jak ją bawił, latając pociesznie w kółko i przewracając się po trawie (ach jak Niunia będzie się śmiać!...) a nareszcie jak zasiędzie do śniadania, a Niunia da mu kawałek bułeczki w śmietance maczanej...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA ZGON ADAMA.

z niedrukowanego rękopisu

WŁADYSŁAWA SYROKOMLI.

Po nad Bosforem, kędyś daleko,
Cudzy mężowie stoją boleśni:
Oto zapadło grobowe wieko
Po nad olbrzymem Sarmackiej pieśni.
Gdy po nim Franków boleją łona,
Turczyn go liczy w proroki Boże,
A jego Litwa, Litwa rodzona
Nawet łzy głośnej wylać nie może!
Nie jeden z dumnych synów Zachodu
Zazdrosną skargę posłał do Boga,
Że nie jest dzieckiem naszego rodu
Kędyś z pobliża góry Mendoga.
A nasze serca żal toczy niemy,
Łzy mimowolne z oczu nam biegą,
Chcemy się modlić — ale nie wiemy:
Modlić się za nim albo do niego?...

On prorok w pieśni godzien modlitwy,
Wyznawca swobód — on wniebowzięty
Męczennik kraju miłości świętej,
On patron Litwy!

Na kolana ziomkowie przed wyrokiem Bożym!
Uchylimy oblicza i serca ukorzym,
On wie co lepsze dla nas, ku jakiej potrzebie
Swe proroki przysyła lub woła do siebie.
Sam Chrystus kiedy ludzkość chciał wynurzyć z cienia,
Krzyż i śmierć dopełniły dzieło odkupienia.
Więc i z trumny Adama dziś Bóg może czyni
Jakiś węgielny kamień do przyszłej świątyni,
Gdzie męczennicy swobód i ojczystej ziemi
Będą mogli odetchnąć piersiami wolnemi.
Dziś może dusza jego poszła do otchłani
Kędy ojcowie łzami pokutnemi zlani,
Opłakując swe winy męczą się boleśnie.
Teraz może wieszcz Litwy śpiewa dla nich pieśnie,
Na którą krwawych piekieł drżą duchowie czarni,
O bliskiem zmartwychwstaniu i końcu męczarni.
Módlmy się, bo w tej chwili najpierwszy z tułaczy,
Tortury swego kraju przed Bogiem tłomaczy.
Tłomaczy w pieśni polskiej i w tak silnej treści,
Że z oczu Chrystusowych tryska łza boleści!
I tam tysiącem bolów jego serce boli:
Niemasz dla niego niebios póki kraj w niewoli!
Bóg wie czem wynagrodzić tak potężnej duszy;
Może dla jego zasług nasze więzy skruszy,
A widząc w jednem sercu kolców tak obficie,
Miłosiernie posłucha i naszych serc bicie,
I zgorzkniałe łzy nasze zamieni na słodsze,
Zdejmie z nas wianek cierni i krew z czoła otrze.

O! gdybym w grzesznej piersi miał zasługi dosyć,
O jednobym u niebios odważył się prosić:
Aby duszę Adama, jego myśli wrzące,
Bóg rozdzielił na jasnych płomyków tysiące,
A każdy z tych płomyków prosto z rąk Jehowy,
Spadał na nasze serca i na nasze głowy.
Przy basztach Nowogrodzkich, u grobu Mendoga,
Jego ziemia rodzinna, jego ziemia droga,
Gdzie biją sine Niemna i Świtezi fale,
Niech-by najpierwszy płomyk dostał się w podziale,
I rozpalił powietrze zapałem swobody,
Którym jeszcze w kolebce oddychał wieszcz młody;
Gdzie zamieszkało plemie najpoczciwsze w świecie,
Gdzie szlacheckie zaścianki albo sioła kmiecie,
U pana Tadeusza domowej kolebki,
Rodziły z dawnych wieków lud dzielny i krzepki.
Boże! tam światła nieco — Twego ciepła nieco!
A dziś jeszcze te duszy kiedy się podniecą,
Ojczyzna Adamowa wskrześnie w swej ozdobie,
Z korzyścią może służyć krajowi i Tobie.

Drugi płomyk spuść Boże na gród Giedymina,
Gdzie olbrzym męzkie kroki już stawiać poczyna,
Kędy serca poczciwe, kędy myśli zdrowe
Dotknięte lada iskrą wybuchnąć gotowe.
Gdzie na wieszcza spłynęły promienie oświaty,
Gdzie przyjął chrzest boleści, kajdany i kraty,
Gdzie mu nie pękło serce chrobre do ostatka,
Gdzie cierpiawszy za matkę poznało co matka.
On tutaj był młodzieńcem: więc duch jego świeży,
Niech płynie w krwi gorącej tutejszej młodzieży.
Oni dziś już ogniści choć nowozaciężni;
Niech się wzrok ich rozjaśni, niech serce umężni.
Płomyk z piersi Adama spuść jeszcze o Boże!
Na starą Żmudź, gdzie mieszkał, na odwieczne Kroże;
Tam dziedzina Kiejstuta — syny Żmudzkiej ziemi
Niegdyś wolni i dzisiaj warci być wolnemi.
Tam przed dwoma wiekami posłannik niebieski.
Na górach Miedziokutnej — śpiewał hymn Sarbiewski.
Leciał wiatrem tutejszym głos jego rozwiany:
«Pospieszcie starym Grekom rozwiązać kajdany.»
Na tych samych pagórkach i nad temiż wody,
Takież same jęczenia wydawał wieszcz młody,
Lecz mu gorętsze jeszcze płynęły modlitwy —
Bo o zbawienie Polski i Żmudzi i Litwy.
Ziść, panie. modły wieszczów! oniż słudzy Twoi.
Pierś żmudzka niechaj nowym hartem się napoi,
A z tamecznych ołtarzy, z pobożnego ducha
Pozwól niech ci dziękczynne kadzidło wybucha.

I jeszcze od Adama niechaj płomyk spłynie,
K' zwanej jego imieniem Kowieńskiej dolinie.
Niechaj rozświetli krańce koronnych wybrzeży,
Niechaj się wstecz po Willi i Niemnie rozbieży,
I nadbrzeżnych mieszkańców, tejże matki dzieci
Swemi iskry ucieplі, promieniem oświeci.
Niech dzielną swoją treścią wleje siłę nową,
I w kwiaty pól rodzinnych i w trawkę zbożową;
Niech zamieszka w krynicy, w strumieniu w jezierze;
Niech Litwa z niego pokarm, niech swój napój bierze,
A ten pokarm, ten napój przyjąwszy do łona,
Na ciężkie bojowanie będzie pokrzepiona.
Jeszcze prośba o Boże! czyż my prosić godni
O jedną tylko iskrę tej świętej pochodni,
Coś zapalił Twą ręką w Adamowem łonie,
Co jak skra elektryczna drgała mu w bardonie?
Panie! Jego płomieniem niechaj się zapłonim
My, co gęślę sarmacką mamy dzierżyć po nim.
Pozwól by jego ognie w nas się rozgościły!
Choć trocha takich tonów — trocha takiej siły,
To wytrwanie do końca w godzinę ucisku,
I taką śmierć szlachetną na swem stanowisku.
Naucz jak naszych braci wyprowadzić z oków,
A uczyń nas wieszczami — boś Ty Bóg proroków.
Niech jak on, jeśli zgodno z Twym wyrokiem Bożym,
Do wyzwolenia świata i my się przyłożym.
Ty, coś uczył Adama jak ma składać pieśnie —
Naucz nas śpiewać hymny kiedy kraj nasz wskrześnie.

WSPOMNIENIA LEKARZA

z wojny turecko-rosyjskiej w r. 1877 i 1878

przez

Dr. SOIKĘ.

(*Ciąg dalszy.*)

IV.

Dzielnice Konstantynopola. Tureccy żołnierze jako pacjenci. Przedsmak bombardowania. Wojska i padiszach.

Pera, które nienawistni giaurom staroturcy zowią chlewem, jest punktem zbornym wszystkich narodowości południa, północy, wschodu i zachodu — istna wieża Babel. Łatwo tu spotkać polyglotów, mówiących siedmioma językami: francuskim, tureckim, greckim, włoskim, angielskim, niemieckim i jednym ze słowiańskich. Między mieszkańcami tej części miasta przebywa znaczna ilość awanturników i ludzi dwuznacznego życia i charakteru z bardzo niejasną przeszłością. Drugi okręg Gałata mieści Greków, Żydów i wszelką hołotę, z której marynarska zna-

ną jest z osławionego życia i obfituje w epizody na tle których możnaby napisać: „Tajemnice Galaty.“ Po wielkim pożarze znaleziono w piwnicach szkielety, z którymi łączą się najokropniejsze historje. Tu można być zamordowanym tak tajemniczo, iż nikt się o tem nie dowie, a bez narażenia się na niebezpieczeństwo niepodobna jest chodzić po zachodzie słońca bez rewolwera. Zuchwałość jest tu niesłychaną. Przechadzając się raz po ulicach tej dzielnicy w towarzystwie pewnego Niemca, słyszę z drzwi wołanie: Ladsmann! jednocześnie czuję rękę ciągnącą mnie za poły surduta. Uderzywszy napastnika po głowie rękojeścią rewolwera uwolniłem się od natręta. Z Galatą jest połączony mostem bardzo znacznej długości, trzeci okręg, właściwy Stambuł, zamieszkały wyłącznie przez Turków, jedyny okręg uczciwy, ponieważ tam niedosięgło jeszcze zepsucie. Stambuł jest niebem, Pera czyścem, Galata piekłem Konstantynopola.

Przeprawa do szpitalu kaikiem po zatoce zwanej Złotym Rogiem bywała zachwycającą, szczególnie rankiem przy wschodzie słońca, gdy jeszcze głęboka panowała cisza przerywana jedynie rytmicznym szmerem wioseł prujących wodę. Za chwilę Złoty Róg roił się kaikami, statkami i okrętami.

Objąwszy chirurgiczny oddział w szpitalu, miałem około 140 rannych, przywiezionych z pod Szypki, Plewny, Sofii i okolic. Rany były jak zwykle śmiertelne, ciężkie i lekkie, a pochodziły albo od pocisków, albo od broni siecznej, lub nareszcie były to stłuczenia. Częstemi były także uszkodzenia palców u rąk. W niektórych wypadkach trudno było rozstrzygnąć, czy były one umyślne dla uwolnienia się od wojskowej służby, czy też prawdopobniej powstawały wskutek nowego sposobu strzelania. Wyciągałem z głębokich ran kawałki przegniłej odzieży, odłamki kartaczów 100—140 gramów wagi i kule, jedyne na kościach spłaszczone i silnie odnogami umocowane w ciele jak korzenie w ziemi, drugie wprawdzie całe, ale pokarbowane jakby ostrzem noża. W karbach zostawały utkwione odłamki kosteczek. Jako miłe pamiątki przechowuję kule, ofiarowane mi przez pacjentów z wyrazem wdzięczności jako *baksziss* (prezent.) Ponieważ jednak przykro im było rozstawać się z tą ich żelazną lub ołowianą dekoracją, więc byłem skromny w tym względzie. Kule miały kształt stożka z trzema równoległemi rowkami nad podstawą, ważyły około sześćdziesięciu gramów (3½ łuta) i były wewnątrz wydrążone. Czułem się w swoim żywiole. Każdy dzień coś nowego przynosił dla doświadczenia i operacyj, której pacjenci poddawali się często z wielkiem zaparciem. Nieraz operowany zaledwie przyszedł do siebie z narkozy, jeszcze na operacyjnym stole prosił mnie o cygaretto, całując rękę wśród słów: *Ałłach selamet were* (Bóg zapłać!) Inny palił po odjęciu prawej ręki podane cygaretto lewą, z najwyższym spokojem.

Żołnierz turecki zadziwia swoją atletyczną budową i zdrowym ustrojem, a że przytem dobrze jest żywiony, więc i stan śmiertelności w szpitalu był bardzo pomyślny, do czego nie mniej jeszcze przyczyniały się trzy inne czynniki: najprzód żółciowo-wodnokrewny ich temperament, skutkiem którego nie podlegali tak łatwo psychicznym wrażeniom, oddziaływającym powszechnie na przebieg ran; powtóre wstrzemięźliwość od gorących trunków, która wpływała korzystnie na wszelkie zranienia głowy, nareszcie niezmierna czystość ciała, przepisana Koranem. Już Mahomet musiał znać hydropatyczne własności wody i wpływ jej w sferach gorących na organizm ciała, skoro polecił używanie kąpieli zimnych dla hartowania się i ciepłych dla czystości. Hygiena, dyetetyka i apteka — odpowiadały wszelkim wymogom.

Przyjechałem z przekonaniem, opartem na potwarczych pogłoskach, że Turcy są narodem zgangrenowanym, lecz przekonałem się, że Turek choć gardzący zdobyczami kultury, posiada niezrównaną siłę fizyczną i nieznaną u nas rezygnację fatalistyczną, »*kismet*,« w obec nieszczęść i klęsk, w obec nędzy i chorób, tak jak w obec kul wrogich i śmierci. Trudno osądzić, kiedy turecki *askier* (żołnierz,) choć prosty lecz prawy, zasługuje na większą cześć i podziwienie — czy gdy pozbawiony żołdu od kilku miesięcy i licho odziany, maszeruje milami i nie wydaje ani słowa skargi — czy też gdy z okrzykiem Ałłah, il Ałłach idzie w ogień z przekonaniem, że skoro zginie na polu walki, dostąpi raju — czy też wreszcie gdy ranny, nie szemrze i nie bluźni, lecz za najmniejszą wdzięczny przysługę, cierpliwie oczekuje wyroku, jaki mu przeznaczą Ałłach prorok jego lub padiszah. Zdrowy jest rdzeń państwa a nim jest naród i wojsko; strupieszałe są tylko członki, które znajdują się u jego steru.

W pierwszych czasach moich czynności w szpitalu, doznałem przedsmaku bombardowania. Wśród największego spokoju, rozległ się raz około godziny dziesiątej z rana huk jakby równocześnie strzelono z kilkunastu dział. Okna zadrżały, a słabiej osadzone powypadały. Obejrzałem się za służbą, lecz ta uciekła. Nieodstępny mój Jakób także gdzieś zniknął, a ponieważ nie mogłem z nikim się rozmówić, byłem więc pozostawiony sam sobie. Grobowa cisza zapanowała w sali. Twarze rannych pobladły — jeden patrzał na drugiego pytająco i z zalęknieniem. Kilku lekko rannych umknęło. Wtem drugi jeszcze silniejszy wystrzał się powtórzył, a po chwili trzeci i czwarty, aż mury w podwalinach, ziemia i wszystko co na niej było, zadrżały. Naturalnie, myślałem, jak każdyby na mojem miejscu sądził że Moskal wpadł jakimś cudem — bo wtedy Plewna dzielnie się trzymała — bombarduje szpital, i sąsiednie koszary Daud baszy i Ramiskiszla. Nie wypadało mi opuszczać chorych, musiałem pilnować porządku; zresztą gdzież było uciekać? w razie rzeczywistości to i na polu kula człowieka spotkać może.

Wyjrzałem oknem i zobaczyłem kłęby dymu, jakby ciemną kurzawę, zbliżającą się ku nam. Mniemałem, że to już godzina ostatnia — przypomniał mi się mój sen — zimno przebiegło mi po żyłach i oczekiwałem uderzenia kartaczów w moją salę. Wtem nadszedł Jakób i oznajmił, że w okolicy Makrikiai, oddalonej zaledwo o jedną milę od stolicy, cztery fabryki prochu wyleciały w powietrze. Dwieście osób utraciło życie, a straty wynosiły przeszło dwieście tysięcy franków, a byłyby jeszcze znaczniejsze, gdyby zgorzał sąsiedni gmach, fabryka nabojów. Rannych, w tej katastrofie, Turków i Armeńczyków, pielęgnowano pod opieką sułtana, kosztem rządu. Opowiadano mi, że w stolicy ogarnął mieszkańców niesłychany popłoch. Najrozmaitsze krążyły pogłoski. Ludzie potracili głowy i biegali tłumami po ulicach. Nie jeden drżał jak listek.

W chwili wolniejszej zdjęła mnie ciekawość zwiedzenia wojsk tureckich, poszedłem więc na plac ćwiczeń wojskowych. Rekruci, musztrowani przy wyrazach: »*bir* — *iki*» (raz — dwa) wcale dobrze się popisywali, choć postawa ich tak mało tchnęła wojskowością, iż trudno było domyśleć się w nich tak dzielnych obrońców ojczyzny. Regularne wojsko, *nizam*, z bronią systemu Martini, wyglądało doborowo, a gwardja sułtańska jak poczdamscy grenadjerowie. Do wojowniczego ducha narodu przyczynia się wiele wychowanie. Turek nie zna prawie innego zatrudnienia nad żołnierkę. Każdy od dziecka bawi się bronią. Z tej przyczyny, przebrany w mundur, jest już niejako wyćwiczonym żołnierzem. Piękny, fantastyczny strój, czynił silne postacie tem zgrabniejszemi i sprężystszemi, choć wielu ubranych było mniej starannie, a jeżeli co, to obuwie było niedostateczne. Nogi owinięte kawałkiem grubego sukna lub filcu, a na to sznurkami przymocowane sandały z koziej lub baraniej skóry.

Nieregularne wojsko ochotnicze rekrutuje się z Czerkiesów, Seibeków i innych, nieustępujących nizamom pod względem fizycznym. Były jednak i takie korpusy, gdzie kroczył czternastoletni malec obok ojca rodziny, lub sześćdziesięcioletniego męża o srebrzystym włosie, jednooki obok chromego lub głuchego. Z tem wszystkiem, mimo tego chaosu, wszędzie żywo przebijała się ochoczość, animusz i fanatyzm, z jakim szli na przeciwnika. Wojska anatolskie, maszerujące przez miasto, budziły dzikie wrażenie: muzykanci z fletami, piszczałkami i bębnami, czynili najdziwaczniejsze podskoki, jak to ma miejsce u dzikich ludów. W regularnych szeregach walczyło wielu czarnych z Arabii z lśniącemi białkami oczu i zębami. Moskale opowiadali, że groźne ich vis-à-vis wpośród wojennego tańca, zażegnywali znakiem krzyża świętego i wódką.

Oficerowie tureccy dają się ująć w dwa typy. Jedni są starej daty, zamknięci w sobie, szorstcy w obejściu i nie mają wprawy w używaniu obcych języków i pióra, tak samo jak noży i grabek. Swoim krajem są tak zajęci, iż dla nich po za Turcją leżą same pustynie. Istnieje też w języku tureckim istotnie jeden i ten sam wyraz na oznaczenie zagranicy i pustyni: »*jaban*». Zresztą odznaczają się oni jako doświadczeni żołnierze na marsowem polu. Drugi typ, oficerowie reprezentujący nowoturków, okazują wielką cześć dla *Frenków* (Europejczyków) i ujmują swoją serdecznością cudzoziemców. Chociaż nowożytna umiejętność nie jest ich przywilejem, zawsze jednak są obeznani już nieco z kulturą, bądź skutkiem podróży, bądź częstego obcowania z Europejczykami. Do ich rzędu zaliczyć także należy renegatów i oficerów obcych państw, zostających w służbie półksiężyca. Stopień oficerski oznaczają nie gwiazdki na kołnierzu, lecz srebrne i złote sznurki na rękawach munduru. I tak ma *bimbaszi*, major, trzy złote, podpułkownik, *kaimakam*, dwie srebrne a dwie złote, a pułkownik, *mirałaj*, cztery złote taśmy. Baszowie noszą oprócz tego nad rzeczonymi paskami ozdobne wyszywania i czerwone spodnie, a dzielą się na *liwa*, *ferik* i *muszir basza*.

Każdego piątku powiewają półksiężyce ze szczytu wieży galackiej. Jest to dzień świąteczny — nasza niedziela, a sułtan wybiera się na *selamlik* — nabożeństwo do *moszei*. Ta uroczystość odbywa się wśród wielkiej parady wojsk,

któremi komenderują oficerowie, przybrani w złote szlify na ramionach. Na przodzie każdego taboru zwracają uwagę dwa rzędy żołnierzy ozdobionych jak wolnomularze, w fartuchy z czarnej lub zielonej skóry i uzbrojonych w długie topory. W południe, wśród dźwięków muzyki à la franca zajeżdża przed meczet wraz ze świtą padiszach, Abdul Hamid, w czarnym salonowym ubiorze i fezie — postać mimo siły wieku wycieńczona, jednakże inteligentna. Tu adjutantom każe przyjmować piśmienne prośby od poddanych. Lud ujrzawszy go, woła z cicha: Ałłah, błagając łaski dla władcy.

V.

Dom. Kobieta. Pobyt w haremie. W »hamam«. »Teke« tańcujących derwiszów.

Domy tureckie są wyłącznie piętrowe, drewniane lub murowane, z zamkami w drzwiach wprawionymi, odwrotnie jak u nas, i z balkonami, za pomocą których, przy nadzwyczajnej wązkości ulic, dostać się można z jednego konaku do drugiego. Tarasy, które tu zastępują dachy, dają wspaniałe widoki. Wewnętrzne urządzenie domu nie grzeszy umeblowaniem. Posadzka, skoro nie jest wyścielona kobiercami, jest tak czystą, jak mi się nigdzie jeszcze widzieć nie przytrafiło. Stąpa się też po niej w pończochach tylko lub trzewikach, zdejmując obuwie lub kalosze u proga. Zamiast pieców, służą w zimie *mangały* na żarzące w popiele węgle, podobnie jak garnki żydówek polskich. Obraz to prawdziwie patryarchalny, jak taki dobroczynny *mangał* z miedzianego kruszcu w pośrodku komnaty gromadzi około siebie całą rodzinę; skoro jednak termometr wskaże zero lub niżej, to i pomimo mangału trzeba się odziać w ciepłe futro, ażeby nie dzwonić zębami. Ułożono żartobliwą przypowiastkę: iż kto nie wymroził się przy mangale, nie siedział w pokoju pod parasolem i nie jadł piławu z łojem — ten nie doznał przyjemności Lewantu. W domu nie ma zwyczaju czyszczenia obuwia; czynność tę spełniają pucobuty uliczni. Do zadawania szyku należy, stać przed nimi z wyciągniętą nogą.

Godziną objadową jest zazwyczaj dwunasta, jednakże nocna, a nie południowa. Na rozpostartym kobiercu siadają mężczyźni i kobiety osobno, ze złożonemi na krzyż nogami i jedzą ze wspólnej misy — *czorba,* zupę, łyżkami. Zamiast noży i widelców, posługują się zręcznie palcami. Nie inaczej zajadał pewien bimbasza, syn renegata, makaron z sosem w restauracyi greckiej, mimo iż miał zastawione przed sobą całe nakrycie. Z mięsiw używa muzułmanin jedną tylko baraninę, a z ziemnych płodów ryż, który stanowi główny artykuł pożywienia. Używanie wina i wódki jest koranem zakazane; mimo to mają Turcy niewymowny pociąg do *mastyki* i *raki.* Turek nie może się obejść bez tytoniu i kawy, którą przyrządza jako dekokt na osobnych do tego maszynkach. W Europie piją właściwie infusum, napar.

Każda rodzina turecka stanowi dla siebie odrębne ognisko, a życia towarzyskiego brak tu zupełny. Mężczyźni jakoteż kobiety mają osobny pokój do przyjmowania gości, których bez wyjątku częstują kawą, a w domach zamożnych sławnemi sorbetami. Turcy przemawiają poufnem ty lub wy: *Effendi, Bej* i *Basza. Effendi* jest każdy, który ma pretensję do jakiegobądź wykształcenia, a przynajmniej umie czytać, bo o pisaniu nie ma mowy, gdyż jest ono nadzwyczaj trudnem. Zdarza się, że niejeden, pisząc w pośpiechu, sam tego później przeczytać nie może, bo nieraz jedna kreska zmienia myśl całego zdania. *Bej* znaczy niby hrabia, ale nie ma tego znaczenia co na zachodzie, a piastowanie niektórych urzędów daje tytuł *beja.* Zatem *bej effendi* i *basza effendi* nie są ściśle arystokratycznemi pojęciami. *Chodcza* (księża), sędziowie i uczeni, zamiast fezów noszą białe turbany, a po sposobie zawiązywania można poznać ich godność. Potomkowie, wywodzący się z pokolenia proroka Mahometa, oblekają skronie zielonymi zawojami.

Mężczyźni wychodząc na zakupno rzeczy, potrzebnych do gospodarstwa i życia, obracają w ręku bezmyślnie paciorki rożańca. Chodzenie na targ było przez dłuższy czas kobietom wzbronione; dziś jest już inaczej. Knują one romansowe spiski z Europejczykami.

W mieszkaniach, zajmowanych przez kobiety, to jest w haremach, na wzór żeńskich klasztorów okna są osłonione drewnianemi kratami, przez które z ulicy zajrzeć nie można, chyba patrząc bezpośrednio w zakratowany otwór, ale taka ciekawość wystawia w najlepszym razie skórę na wygarbowanie. Ze swoich gmachów kobiety widzą wszystko, ale same pozostają ukryte przed grzesznemi oczyma śmiertelników. Od własnych mężów są odosobnione, mieszkając po haremach, a od obcych w ten sposób, iż na każdem miejscu gdzie mężczyźni znajdować się mogą, jak np. na stacjach tramwaju lub statków, bywa osobny przedział dla Turczynek, z desek lub bodaj płóciennej, choćby dziurawej zasłony.

Kobiecie tureckiej wyznaczona niewolnicza rola. Podczas gdy na zachodzie powszechnie jest przyjętem, że kawaler dostaje żonę i posag, na wschodzie musi on ją kupować, płacąc rodzicom pewną naprzód umówioną kwotę. Bogatsza i szlachetniejsza rodzina wymaga znaczniejszego okupu. Turek nie zna gorącej miłości przedślubnej; nie widząc swojej przyszłej, targuje się o nią za pośrednictwem osób drugich. Jednakże jeżeli nie jest zadowolonym, ma prawo odesłać ją po ślubie. Punkt ten wywołałby u naszych pań walkę zaciętą, lecz nie zaszkodzi o tem wiedzieć. Fakt, iż każdy może tyle żon trzymać, ile ich jest w stanie wyżywić, jest powszechnie znanym.

Nie zapomnę wrażenia, jakiego doznałem, widząc Turka jak pędził na szybkim koniu, wzbijając tumany kurzu na gościńcu i tulił silną dłonią kibić odaliski — zdawało mi się, że uciekał z rabunkiem.

Płeć żeńska zakrywa twarze zasłoną, zwaną *jaszmak,* z muszlinu, illuzyi lub gazy. Ładne twarzyczki noszą całkiem przezroczyste woalki i tak upięte, że rysy łatwo rozeznać, co wygląda bardzo ponętnie. Natomiast brzydkie i pożółkłe noszą gęste i tak ułożone, że świecą tylko oczyma. Bez wątpienia jednak tak osłonioną postać owiewa tajemniczy urok. Szaty ich mają kształt płaszcza z szerokiemi rękawami, z jedwabiu lub wełny, przeważnie czarnego, zielonego, czerwonego i żółtego koloru. Prócz jaszmaku, musi każda kobieta mieć na sobie spodnie. *Chodcza* twierdzi, że zaniedbanie którego z tych przepisów jest sromotą, jakiej tylko kobiety giaurów dopuszczać się mogą. Pociesznie wyglądały Greczynki i hiszpańskie żydówki w Bałłat, krzątające się koło gospodarstwa w spodniach, które jako wygodne przyjęły z obyczai wschodnich. Za ozdobę uważane jest pomalowanie paznokci a nawet i palców na różne odcienia żółtej aż do brunatnej barwy, za pomocą odwaru z liści *Alhanna,* pospolitego na wschodzie krzewu. Rękawiczek nie używają, a chodzą zimą i latem, w deszcz i pogodę z parasolkami, jako uzupełnienie zasłony twarzy.

Dziewczęta są bardzo przystojne i wschód słusznie słynie z urodziwych kobiet, tak jak z cukrów i karmelków. Lica wyglądają dla braku świeżego powietrza i promieni słonecznych blado, eterycznie — lecz blednica i w Europie podoba się mężczyznom. Koran przepisuje kobietom niezmierną czystość ciała. Uboższe udają się przynajmniej dwa razy na tydzień do łaźni, zwanych *hamam* lub *bania.* Zamożne pieszczą się codziennie w własnych łaźniach haremu, używają rozmaitych rodzajów pasty i skrapiają się wonnemi olejkami.

Murzynki i Arabki brzydkie z powodu z ust wystających, ubierają się tak samo jak Turczynki i należą do tego samego wyznania.

Białe ich woalki odbijają jaskrawo od czarnych jak węgiel twarzy. Greczynki tak są cudownie upośażone od natury, że trudno brzydką spotkać, lecz na żony bardzo niebezpieczne, gdyż przepych posuwają do najwyższego stopnia. Opuszcza męża dla drogiej sukni, jeżeli zalotnik zobowiąże się jej kupić. To samo tyczy się Armenek które zdobią pod orlim noskiem czarne wąsiki, jeżeli te nie są za znaczne.

Jeżeli żona lub konkubina Turka zasłabnie, pozostawioną jest samej sobie lub opiece proroka, ażeby oko mężczyzny, choćby nawet muzułmanina, nie skaziło sławy haremu. Wiele też kobiet zginęło i pada po dziś dzień ofiarą, osobliwie w położniczych wypadkach. Fanatyczny Turek woli raczej śmierć żony, niżby mężczyzna miał ją dotknąć. Powoli jednak cywilizacja i w tym kierunku przełamuje zapory. I tak w charakterze lekarza miałem sam przyjemność dostać się do haremów, i co pisałem o kobietach zawdzięczam głównie tej okoliczności.

Zostałem wezwany do Reszida baszy, z poleceniem zbadania jego cierpiącej żony. Nadzwyczaj mnie to zaintrygowało, zbadać tajemnice zakazanego raju Mahometa. Nie dałem więc sobie zaproszenia dwa razy powtórzyć. Zakołatałem do drzwi głównych. Odźwierna wyszła, otworzyła i o mojem posłannictwie snać uwiadomiona, wskazała drogę do haremu. Zdjąłem kalosze w przedsionku i wstąpiłem do pysznej sali, pachnącej, o zakratowanych oknach, wysłanej kobiercami, lśniącej od zwierciadeł i ozdobionej exotycznemi kwiatami. Na obiciu ścian wisiały amulety, torebki amuletowe i ramki z tureckiemi napisami, zapewne przysłowiami koranu. Na około stały niskie *dywany,* obite adamaszkiem, a na jednej z nich siedziała na wpół leżąc, wsparta o poduszkę ozdobioną perskim haftem, kobieta w kwiecie wieku, idealnie biała, niby marmurowa postać, z wachlarzem piór pawich w ręku. Mojem wejściem zmięszała się, jak poznałem nie po zjawieniu się rumieńca, gdyż pozostała tak bladą jak była, ale po drżeniu, które usta jej zdradzały. Pozdrowiłem ją i ująwszy jej dłoń, uspokoiłem

*

wejrzeniem i tureczczyzną, w której znacznie postąpiłem, gdyż przypadło to już w pół roku po mojem przybyciu do Turcji. Wniesiono kawę w srebrnych kubkach na pozłacanej tacy. Wśród rozmowy wziąłem się powoli do dzieła, opukałem kształtne piersi, obsłuchałem płuca, a przyłożywszy ucho czułem drżenie na całem jej ciele.

Zbadawszy bliżej, co uważałem za potrzebne do mojej decyzji, rozpocząłem przerwaną rozmowę, a widząc niebieską pastę leżącą na toaletce obok przyborów do pudrowania twarzy, spróbowałem otrzymać od pacjentki receptę na tureckie kosmetyki — co mi się też udało. Potem również w srebrnych naczyniach i na złoconej tacy podano sorbety.

Czy nas kto śledził podczas tej mojej wizyty, tego nie wiem. Excelencja Reszid basza oczekiwał na mnie w innym salonie. W dni kilka oznajmił mi o pomyślnym stanie zdrowia swojej żony i jej serdecznej wdzięczności. Hanczar srebrny z koralami na rękojeści i plamami krwi na ostrzu, przypomina mi te ciekawe odwiedziny.

Nietylko Turek, ale każdy podróżnik zachwyca się wschodniemi łaźniami. Są to te same kąpiele, które w starożytnej Grecji i Rzymie za czasów Nerona i Trajana tak szczególnego nabrały rozgłosu. Wybrałem się w gronie znajomych do jednego z takich zakładów. Odpocząwszy w komnacie i powierzywszy wartościowe rzeczy słudze, udrapowani w kolorowe szaty, w drewnianych pantoflach na wysokich korkach, przechodziliśmy przez szereg gmachów, ogrzanych do rozmaitych stopni ciepłoty, a w jednym rozłożyliśmy się obozem na wełnianych kocach. Tutaj spróbowałem po raz pierwszy *nargile*. Lecz odradzam każdemu nie oswojonemu z niem kosztowanie tego zimnego dymu, który może być osłodą tylko dla *hamatów*. Poty i tak silne w gorącej temperaturze, skutkiem używania *nargile* jeszcze mocniej wystąpiły. Gdy ciało przeszło wilgocią i nabrało pewnej miękkości, zeszliśmy do samej łaźni, oświetlonej bladym płomieniem kagańca. Wśród duszącego gorąca poddaliśmy się właściwej procedurze, stanowiącej cechę kąpieli orjentalnych, czyli maurytańskich, a wykonywanej przez przeznaczonych do tego łaziebnych chłopców. Po ogólnem oczyszczeniu strugami raz ciepłej, raz lodowej wody, nacierali oni całe ciało najpierw łagodnie, potem gniotąc coraz mocniej palcami, dłonią lub pięścią, w końcu zginali członki i naciągali stawy tak, iż w spojeniach trzaskały. Tak odrodzeni zarzuciliśmy na siebie płaszcze i spoczywali na wygodnym dywanie, delektując się kawą i limonadą, lub kłębami dymu z cygaret. Sprawiało nam to żywą przyjemność. Na wschodzie używają wspomnianych manipulacyj jako hygienicznego środka na upiększenie ciała i utrzymanie zdrowia.

W Pera istnieje fanatyczny zakon *Teke* tańcujących derwiszów, którzy odprawiają nabożeństwo co wtorek i piątek, między drugą a trzecią godziną po południu.

Mijając dziedziniec, ocieniony platanem, sędziwym królem drzew, wchodzi się do nie wielkiej, lecz ozdobnej *moszei*. Nawa jest ogrodzona balustradą. Ściana wschodniej strony mieści galerję, podzieloną na chór i dwie loże, do których wstęp jest dozwolony dla widzów i niemych słuchaczy. Z kaloszami w ręku dałem się porwać z tłumem muzułmanów w boczną część świątyni, gdzie wyznawcy modlą się w stojącej, klęczącej i siedzącej postawie. Zakonnicy jednakowo ubrani, mają narzucone na ramiona płaszcze szerokie z zielonej materji, suknie na kształt spodnicy, na głowie wysokie czekoladowe okrycia z filcu. Mistrz i koryfeusz rozpoczyna ceremonję, której wtoruje kapela piszczałek. Zrzuciwszy płaszcz i skłoniwszy głowę w kierunku grobu Mahometa, opisuje koło trzy razy, a w jego ślady wstępuje szeregiem reszta derwiszów. Po procesji staje na miejscu, ręką daje hasło i wodzi kolejno bosych jednego po drugim w pląsy na wypoliturowanej posadzce. Najprzód krążą powolnie z zamkniętemi oczyma, potem usiłują w szalony wprawić się zapał, wyciągają ręce do góry, nadają im kurczowe ruchy i puszczają się w tany, w których każdy kręci się w kółko na około swej osi, przyczem wierzchnia suknia wzdyma się jak powietrzny balon. Przez pół godziny powtarzają kilka razy bez zawrotu głowy ten podziwienia godny taniec, poczem następuje na zakończenie rodzaj komunii: mistrz każdego z osobna, a ci między sobą się całują. W przysionku zbierają na odchodnem *bakszisz* dla ubogich.

Mogiły i pomniejsze cmentarze rozrzucone są gęsto pośród domów, lecz najsławniejsze snują się jak cyprysowe lasy po za murami miasta. Pomniki z napisami i świecącemi lampkami przystrajają groby, w których na głębokość zaledwie metra spoczywają zwłoki, przyłożone czterema deskami. Rzutem oka na familijny grobowiec, można się zorjentować ile w nim leży mężczyzn, żon i dzieci i jakiej płci, podług tego, czy rzeźba kamienna przedstawia fez i turban, czy kwiaty. Wiele mogił jest uszkodzonych, gdyż niejedne liczą seciny lat; czaszka lub jaka inna kość sterczy z otworu, który ząb czasu wygryzł w kamieniu. Palenie, jakoteż obsypywanie ciał wapnem lub karbolowym kwasem sprzeciwia się religji.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PISMIENNICTWO POLSKIE.

«Przegląd akademicki» — organ młodzieży polskiej wydawany za staraniem Czytelni Akademickiej w Krakowie pod kierownictwem Dra Izydora Kopernickiego. Kraków 1880. Rok I. Zeszyt I. str. 94.

Różnemi czasami i w różnych miejscach usiłowała młodzież nasza wydawać pisma, mające być jej organami. Usiłowania te nigdy dotąd nie były wieńczone pomyślnym skutkiem i pisma prędko upadały. Zawsze pytaliśmy się o przyczynę tego zjawiska, ale sami młodymi będąc nie umieliśmy sobie zdać z niego sprawy, i dopiero dziś, gdyśmy się trzeźwiej a chłodniej przypatrzyli stosunkom, pojmujemy dla czego przeszłe organa młodzieży, nie miały w sobie sił żywotnych. Wszystkie próby takich pism, robiono dotąd za granicą, a nie w kraju i to był pierwszy a ważny powód, dla czego mimo wszelkich starań pisma owe utrzymać się nie mogły. Nie dawały one nigdy wiernego obrazu ruchu młodzieży w kraju pracującej i przeradzały się wcześniej lub później na organa młodzieży emigracyjnej. Drugim kardynalnym błędem było wcielenie rozpraw i karespondencji treści politycznej w łamy pisma, a ponieważ młodzież — właśnie dla swej młodości nie może być chłodną i w zapatrywaniach wytrawną, przeto organa jej stawały się pismami polemiczno - politycznemi, o tendencji zacnej, niechybnie patrjotycznej, ale gorąco i bezwzględnie podanej, do tego jednostronnej, a taka razić musiała umysły o równie może patrjotycznych ale odmiennych przekonaniach. Trzecim błędem była dorywczość opracowań i dyletantyzm literacki na wielką skalę; gonienie za efektem kosztem gruntowności i poświęcanie więcej miejsca beletrystyce, jak ściślej naukowej wiedzy. Leżący przed nami pierwszy zeszyt „Przeglądu akademickiego,“ organu młodzieży polskiej, zupełnie nam się inaczej przedstawia, niczem dawniejszych pism akademickich nie przypomina i bogdajby to było prognostykiem większej jego trwałości. Zakrój pisma poważny, wyłącznie naukowy i informacyjny, bez balastu beletrystycznego każe nam się spodziewać, że przy poparciu stanie się „Przegląd akademicki“ pismem, mogącem przynieść niepoślednie korzyści wszystkiej młodzieży akademickiej.

Treść pierwszego zeszytu dobrze wróży na przyszłość. Obok rozprawy Leńka o uniwersytecie Kazimierzowskim na tle stosunków uniwersyteckich w wiekach średnich, napisanej z werwą i gruntowną znajomością rzeczy, mieści się nader ciekawa filologiczna rozprawa Hanusza z dziedziny gramatyki polskiej, której opracowanie zapowiada, że w młodym autorze rośnie piśmiennictwu naukowemu pracownik niepośledniej siły, władnący językiem barwnym, czystym, myślący jasno i swobodnie. Ze wszech miar pożądaną jest rubryka zawierająca „Wskazówki dla uczących się,“ w której autor zamierza przejść szereg nauk przyrodniczych, wskazując wstępującym na uniwersytet uczniom, jakich kolejno dzieł i podręczników używać należy przy uczeniu się pewnego przedmiotu, aby nauka poszła systematycznie a z największą dla uczącego się korzyścią. Jestto dział, którybyśmy radzi widzieć jak najobszerniej traktowanym, gdyż z doświadczenia własnego wiemy, jak trudnem jest dla początkującego zorjentowanie się, w każdej obranej nauce, i ile czasu traci się na poszukiwaniu odpowiednich dzieł nim się trafi na właściwe. Przegląd prac naukowych młodzieży; sprawozdania z dzieł naukowych i podręczników; sprawozdania o ruchu naukowym młodzieży na krajowych i zagranicznych uniwersytetach; kronika i korespondencje; wreszcie bibliografja prac akademickich, zapełniają dalszą część zeszytu i dają obraz działalności naszej młodzieży w sposób treściwy i wierny. Musimy powinszować Redakcji tej części informacyjnej wyrażając zarazem życzenie, by w tym samym duchu i tej samej formie prowadziła rozpoczęte dzieło, a „Przegląd akademicki“ zyska sobie gorących zwolenników nietylko między młodzieżą, ale także w kołach inteligentnej społeczności, której dobro młodzieży leży na sercu, którą obchodzi praca tej młodzieży — a zarazem pismo to zdobędzie sobie prawo obywatelstwa w bieżącem piśmiennictwie perjodycznem. Na zachętę serdeczne Szczęść Boże!.

W. J. Wdowiszewski.

Kronika Tygodniowa.

W ubiegłym tygodniu fizjonomja naszej stolicy zaczęła już przybierać co raz bardziej niespokojne objawy. Miasto i ludność opanowuje pewien gorączkowy ruch i krzątanie się na przybycie cesarza. Komitety, podkomitety, doradcze, wykonawcze, dyrygujące, wskazujące, a wreszcie słuchające wyrastają co godzina jak grzyby po deszczu, a wszystko to radzi, biega, rozkazuje i szafuje pieniądzmi jak wodą. Otóż z powodu tego ruchu pieniędzy, Lwów bardzo wesołą ma minę, bodajto te pieniądze. Krzyczą, piszą, że się ludzkość materjalizuje, że tylko grosz jest świętością a uczucia stawia się na drugim planie, kiedy rzeczywiście trudno dziś o dobry humor bez pieniędzy. Pod tym względem to chyba tylko literaci i artyści są największymi filozofami, bo z pustkami w kieszeni potrafią jeszcze bawić i rozśmieszać. Reszta plebsu nie wyjmując nawet wielkich panów, rzadko kiedy jest nasycona i dlatego potrzebują szczególniejszego, naturalnie przybranego usposobienia, żeby się zabawić.

Będziemy tedy mieli wszystko co oko i ucho, a w części i smak zabawić może, illuminacje, fakelzugi, wulkany, koncerta, widowiska, a wreszcie i dwa bale. Miasto wystąpi świetnie, ale czy smacznie, to będą wiedzieli ci co tam będą, ale z pewnością nie literaci, bo tam przecież trzeba mieć przynajmniej całe buty.

Słyszeliśmy, że bilety do galowego przedstawienia niby sprzedawać będzie komitet miejski, a rzeczywiście zapisywać się trzeba na nie w c. k. Namiestnictwie, i że bardzo wątpliwą jest rzeczą, czy tam jaki kronikarz dzienikarski znajdzie pomieszczenie. Podobno już zapisanych jest siedm liber i pięć arkuszy samych nazwisk konkurentów, z których pięć liber przypada na żądających loży. Ośmielamy się tedy zwrócić uwagę kogo należy, że przecież trzeba kogoś żeby to wszystko opisał i podał odległej potomności z jaką szlachta polska wystąpiła parадą.

Słyszeliśmy, że jest komitet dla przyjęcia korespondentów obcych i zagranicznych dzienników, który już rozesłał zaproszenia na wszystkie strony świata, nie słyszeliśmy tylko, żeby się ktoś kłopotał, gdzie nasi kronikarze i sprawozdawcy mają się pomieścić. Ha, trudno, ani blasku kontuszów, ani spinek, karabelli i t. p. podobnych świecideł głośna fama nie rozniesie po świecie i pan Feliks Piątkowski słuszny będzie miał żal, jeżeli prowadząc sześciotysięczny zastęp z pochodniami nie przejdzie do potomności; trudna rada, jak kto sobie pościeli tak się wyśpi...

Więc tedy panie zaczyna się krętanina we Lwowie i ruch jak się zdaje najgorętszy między żydkami. Powiadają, że blankietów stemplowych na weksle spotrzebowano więcej, niż łokci perkalu na chorągwie. Poczciwi ci żydkowie, oni się tam nie cisną ani po bilety, ani po zaproszenia, ale spożyją najlepszą cząstkę całej uroczystości — guldeny.

A w Krakowie powiadają, że jeszcze goręcej wszystko idzie. Sukiennice mają płonąć ogniem, a prezydent kazał sobie zbudować nową karetę z herbami miasta i pojedzie przed cesarzem pięcią końmi, a dwóch hajduków miejskich z halabardami będzie jechało za nim, a reszta wszystko po krakowsku. Kraków koniecznie chce nas zakasować, ale i my tu mamy takie niespodzianki, że jak się o nich dowiedzą w Krakowie, pochorują się ze zmartwienia... ale cicho — sza!

Z prowincji również płyną codzienne wiadomości o różnych przygotowaniach, o sobótkach, wystąpieniach i jakichś bandach czy banderjach włościańskich' w strojach narodowych. Otóż naprawdę, nie wiem co te pisma nasze codzienne nazywają banderją, albo bandą. Że kucharki lwowskie nazywają bandą orkiestrę wojskową, grającą w ogrodzie, że bandą dawniej nazywano szajkę opryszków i rabusiów — to słyszeliśmy, ale żeby bandą przezwać orszak, mający witać cesarza — to dla nas nowy galicyjski wyraz, przyznajemy ubliżający tym, którzy go mają stanowić. Zdaje się, że w języku naszym mamy dość innych wyrazów, przedstawiających daleko lepiej rzecz samą, niż owa banda bardzo wątpliwej przyzwoitości. Wszak może być orszak, nawet gromada, a najlepiej staropolska drużyna. Po co tworzyć nowe i od kucharek zapożyczane bandy, kiedy do tego wyrażenia przywiązane zawsze jest znaczenie czegoś niebardzo porządnego.

Skoro parękroćstotysięcy guldenów poszło w ruch — więc nam jest wesoło, a weselu temu dodają jeszcze więcej animuszu ciągłe przechody wojska z muzykami na czele, jakieś odległe echa strzałów, dziarskie miny oficerów, uwijających się po ulicach i lokalach publicznych. Wszystkie warsztaty w mieście zajęte, szyją, kują, malują, co nam przypomina trochę dawne wojenne czasy, niby przygotowania na jakąś wyprawę. Szlachta ze wsi gromadami chodzi po sklepach, przymierzając kontusze i żupany, w oknach pełno tych różnokolorowych strojów, pełno czapek, pasów, spinek i broni, a nawet wzorów na transparenty. Otóż te wzory, musimy przyznać, dość niefortunnie wyglądają, coś w rodzaju częstochowskich bohomazów, które dalibóg zamiast zachwycić, mogą poprzestraszać naszych gości.

* * *

Ze wszystkich stron dochodzą nas wiadomości o ogromnych szkodach, których przyczyną były ostatnie, kilkutygodniowe deszcze sierpniowe. Burze poniszczyły całe powiaty, grady powybijały zboża, powodzie zrujnowały wszystkie niżej leżące miejscowości — a co najgorsza, to że mnóstwo zboża porosło na pokosach a nawet i na pniu. Ta ostatnia klęska jest jedną z najdotkliwszych w gospodarstwie wiejskiem, gdyż niszczy i ziarno i słomę, które nawet na paszę dla bydła nie są przydatne. Tak więc choć urodzaje zapowiadały się dobrze, znowu będziemy mieli rok drożyzny a miejscami głodu. Szczególniej smutne wiadomości dochodzą z Kongresówki — gdzie ceny zboża i tak wysokie, ciągle idą w górę i nie ma nadziei, ażeby spadły, tem bardziej, że główna podstawa pożywienia naszego ludu — kartofle, prawie wszędzie gniją. Czeka nas zatem bieda, od kilku lat nieustająca.

* * *

W świecie artystycznym i literackim cisza ponura. W teatrach pustki, więc i nowa sztuka rzadko się gdzie pojawi — a korespondenci dzienników nie mając faktów, puszczają się na fantastyczne wody wymysłów, lub co gorsza, wymyślań, jak tego niedawno mieliśmy dowód na warszawskim „Wieku," którego lwowski korespondent, lwowskich literatów i wydawców błotem obrzucił. Nie jesteśmy zwolennikami wzajemnej adoracji—owszem, pokłócić się czasami zdrowo jest i pożytecznie — ale odsądzać od czci i wiary całą jakąkolwiek korporację, jest brzydko i śmiesznie; brzydko, bo pochodzi to zwykle z zemsty za urazy osobiste — śmiesznie, bo jest absurdem i cechuje tylko niepiękną wadę — zarozumiałość. Redakcje powinny bardzo oględnie przyjmować podobne korrespondencje — a mówimy to do dzienników warszawskich, którym się takie wypadki dość często, niestety, zdarzają.

Lecz pomińmy lepiej te smutne męty i podzielmy się z czytelnikami nowiną artystyczną, w tej chwili jedyną i jedynie nam wiadomą: P. Wdowiszewski, znany autor „Szambelanów." napisał nową komedję czteroaktową p. t. „Ogniowe próby" którą przeznaczył na tegoroczny sezon zimowy teatru lwowskiego. Treść jej czerpana jest, jak we wszystkich większych komedjach p. W. z życia obywatelstwa wiejskiego, i o ile słyszeliśmy, ma zadać kłam twierdzeniu niektórych dzienników, jakoby autor był zapamiętałym wrogiem szlachty, oraz pokazać, że w każdym umie ocenić zacność duszy, zdolność głowy i uczciwą pracę, bez względu czy kto jest herbowy czy nie.

KATEDRA KOLOŃSKA.

Telegramy przyniosły przed kilku dniami wiadomość, że słynna katedra kolońska, najwspanialsza świątynia Niemiec, najszczytniejsze dzieło budownictwa gotyckiego — została wykończoną.

Dnia 14. sierpnia r. b. o godzinie 10. rano rozwinięto na obu szczytach olbrzymich wieżyc potężne sztandary, pruski na północnej, niemiecki z napisem *Protectori* na południowej.

Był to znak, iż budowniczy tumu, radca Voigtel, który znajdował się na szczycie rusztowania, przy drugiej rozecie, ukończył swoją pracę.

Katedrę dzisiejszą wzniesiono na miejscu, na którem arcybiskup Hildebald w r. 814 za czasów Karola Wielkiego, rozpoczął budowę kościoła; pożar zniszczył go niebawem i dopiero w r. 1248 arcybiskup Konrad z Hochstaden, za panowania Fryderyka II., podłożył kamień węgielny pod budowę dzisiejszą; wówczas to już wypracowano plan, który dzisiaj dopiero w zupełności został wykonany.

Pierwszym budowniczym katedry był Gerhard z Rile.

Zwolna wznosiły się pojedyńcze części budowy: w r. 1322 poświęcono chór, stulecia zaś całego było potrzeba, zanim w r. 1437 wykończono przedsionek południowej wieży.

Do końca w. XV. stanęły gotowe obie wschodnie nawy i chór z kaplicami.

Nastąpiły burze reformacji; nie czas było myśleć o budowie.

Przez dwa stulecia nie tknięto więc świętej sprawy, umieszczono tylko parę pomników w kościele; tymczasem ząb czasu pastwić się zaczął nad zewnętrzną budową, a nie było fun-

duszów ani opieki, któraby dziełu zniszczenia zapobiegła.

Podczas wojen u schyłku XVIII stulecia katedra kolońska służyła za magazyn wojskowy. Napoleon I. odmówił subwencji rocznej 40.000 fr. na utrzymanie świątyni; zdawało się, że nadszedł kres jej istnienia.

Wtedy odezwały się w Niemczech wymowne głosy braci Boisserée, Görresa i Fryderyka Schlegla, wzywające naród do zaopiekowania się tym cudem architektonicznym i gdy w r. 1814, wskutek pokoju paryskiego, Kolonja przeszła do Prus, sprawa restauracji katedry wstąpiła na porządek dzienny.

Sławny Schinkel obejrzał gruntownie stan budowy, a robotę powierzono Frankowi i Ahlertowi.

Gdy dokonano trudnego dzieła restauracji, można bylo dopiero pomyśleć o dalszej budowie.

Dopiero jednak Fryderyk Wilhelm IV, monarcha wielce sztukom oddany, popchnął rzecz raźniej naprzód; w r. 1841 utworzył się centralny komitet do budowy tumu, a wzdłuż i wszerz kraju powstało około stu filij komitetu.

Poczęto hojne czynić zapisy na rzecz świątyni, pisarze i artyści współzawodniczyli w niesieniu pomocy narodowemu dziełu.

D. 4. września 1842, w obecności dworu, położono kamień węgielny pod dalszą budowę; Kolonja była podówczas świadkiem uroczystości jakiej nie widziała odtąd.

W tymże roku założono nawet gazetę, poświęconą wyłącznie sprawie ludowy tumu; wydawała ją bezpłatnie redakcja *Gazety Kolońskiej*.

W r. 1848 król Ludwik bawarski podarował katedrze sławne malowidła szklanne, które stanowią dzisiaj cudowną ozdobę okien tumu.

W r. 1861 umarł Zwirner, następca Ahlerta, spuściznę po nim objął Voigtel.

W dniu 15. października 1863 święcono wykończenie samego kościoła; odtąd całą siłą oddano się pracy około obu głównych wieżyc.

Dziś wyciągnięto ostatni głaz na olbrzymie rusztowanie, a mistrz Voigtel po raz ostatni uderzył młotkiem o misterną koronkę.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Bączalski Edmund.* Zasady pisowni niemieckiej ze słowniczkiem, zawierającym przeszło 6000 wyrazów, ku wykazaniu lub ustaleniu ich pisowni zestawionych. Stryj 1880. 40 ct.

— *Chorośnicki J.* Dwie nowele. 8ka str. 83. Lwów 1880. 60 ct.

— *Frey Gabrjela.* Wyrób sztucznych kwiatów. 8ka str. 100 ze 170 drzeworytami w tekscie. Lwów 1880. 1 złr. 50 ct.

— *Giller Agaton.* Wspomnienie o Janie Działyńskim. 8ka str. 57. 1880. 60 ct.

— *Gregorowicz Kazimierz.* Pogląd krytyczny na wypadki z roku 1861, 1862, 1863 i zaczerpnięte z nich wskazówki polityczne z powodu prac Bolesławity. 2 tomy 8ka str. 216. 228. Lwów 1880. 3 złr. 60 ct.

— *Heine Henryk.* Księga pieśni. Przekład A. Mieliszki-Maliszkiewicza. 16ka str. 155. Warszawa 1880. 40 ct.

— *Podróże* Nordenskjölda w okolicach biegunowych. 8ka str. 59. Kraków 1880. 60 ct.

— *Rogosz Józef.* Marzyciele, powieść historyczna z pierwszej połowy XIX wieku. 3 tomy 8ka str. 189, 231, 251. Lwów 1880. 3 złr.

— *Szekspir W.* Otello. Tragedja w pięciu aktach. Tłumaczył Szczęsny Kluczycki. 16ka str. 143. Warszawa 1880. 40 ct.

– *Turgenjew Iwan.* Pamiętniki myśliwca. Przekład polski Henryka Hengla. 16ka str. 86. Warszawa 1880. 20 ct.

— *Wolski dr. Ludwik.* Polityka delegacji galicyjskiej. 8ka str. 30. Lwów 1880. 20 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Wkrótce wyjdą z druku w Bibljotece Mrówki Stefana Garczyńskiego: „Wspomnienia z czasów wojny narodowej polskiej 1831 r. i Sonety wojenne“ ku uczczeniu 50-letniego jubileuszu Powstania listopadowego i będą stanowiły tomik 100 tej bibljoteki.

*** *Marzyciele,* powieść historyczna Józefa Rogosza, osnuta na wypadkach galicyjskich w r. 1846, która drukowana w „Dzienniku polskim“ tak wielkie budziła zajęcie, wyszła już z druku w oddzielnej 3 tomowej odbitce. Obszerniejszą ocenę tej pracy, podamy wkrótce.

*** Wyszła w tych dniach rzecz Leona Malo, p. t.: „Stan obecny przemysłu asfaltowego“, przełożona i uzupełniona przez Józefa Spornego, inżyniera.

*** *Izraelita* pismo wychodzące w Warszawie w ostatnim numerze rozpoczął druk odczytu adwokata Antoniego Pileckiego, p. t. „Ustęp z dziejów cywilizacji żydowskiej“

Rzecz ta ma wyjść w oddzielnej odbitce.

*** Najnowsza powieść Jokaja „Syn człowieka o kamiennem sercu“ znalazła tłómacza w osobie pani M. K.

*** W Petersburgu wielki rozgłos znajduje książka M. E. Sałtykowa (Szczedryna) p. t. „Państwo Golowlewy“. Jest to ostatnia powieść znakomitego satyryka rosyjskiego, mniej od innych satyryczna, więcej zbliżona formą do romansu. Książka ta, podobnie jak wszystko co wychodzi z pod pióra tego autora porusza ogromną gamę pytań, począwszy od najszerszych zagadnień społecznych, aż do najdrobniejszych. Na dnie każdego utworu Szczedryna mieści się idea filozoficzna, obejmująca politykę, socjologję i moralność z całym aparatem historycznym. Kierunek ten odpowiada potrzebom chwili, a jego satyry więcej niż dzieła, któregokolwiek z głośnych współczesnych beletrystów posiadają doniosłość społeczną.

*** Dziennik poświęcony krytyce: „Magazin für die Literatur des Auslandes“ umieszcza ważny artykuł p. t: „Ein polnischer Roman über die Judenfrage“, skreślony przez dra Germana w Jarosławiu galicyjskim.

Po odparciu niegodnych zarzutów Francoza wypowiedzianych o żydach w kraju tutejszym, autor zestawia opinję wyrzeczoną w tej materji przez rozmaitych pisarzy naszych, jak Niemcewicz, Mickiewicz i Kraszewski, poczem przechodzi do rozbioru powieści Orzeszkowej, „Majer Ezofowicz.“

Mówiąc o tej autorce, German stawia ją obok Kraszewskiego, twierdząc iż pod względem talentu stoi w szeregu naczelnym polskich powieściopisarzy.

Następnie, uznając, że ten rodzaj literatury jest odbiciem życia, krytyk podaje treść utworu, czerpiąc w nim wskazówki do pojęcia o istotnym stanie kwestji żydowskiej u nas.

*** *Svetozor* drukuje powiastkę Świetli p. t. „Plevno“, ofiarowaną przez autorkę małżonkom Grabowskim.

Kilka słów na wstępie, skreślonych ciepłą dłonią, przekonywa o sympatji pani Świetlowej dla pobratymców Polaków.

*** *Illustracja lipska* podaje portret i życiorys Tomasza Drygalskiego, jenerała wojsk tureckich i przybocznego adjutanta sułtana Abdul-Hamida

Jenerał Drygalski, urodzony w Lesznie, jest synem oficera pruskiego, Polaka zniemczonego i matki rodowitej Polki.

Zawdzięcza karjerę osobistemu męztwu i szczęśliwemu zbiegowi wypadków.

Stryjeczni bracia Drygalskiego zamieszkują w Królestwie.

*** Gazeta Rolnicza w nr. 34 z r. b. zawiera: 1. Projekt ustawy leśnej królestwa polskiego. 2. Teorja i praktyka w gospodarstwie wiejskim, napisał dr. Juljusz Au. 3. Jak się dowiedzieć, czem najkorzystniej nawozić rolę? napisał dr. S. Kudelka. 4. Stany Zjednoczone Północnej Ameryki przez A. S. 5. Pzegląd polityczny. 6. Wiadomości bieżące. 7. Rozmaitości. 8. Kurjer Rolniczy. 9. Odcinek zawiera: Woły robocze, Szkice patalogiczno-społeczne, przez autora „Kłopotów Starego Komendanta.“

Nauka.

*** W Petersburgu otrzymano projekt (od kogo?) muzeum archeologicznego w Warszawie, mającego mieścić wszystkie zabytki, pochodzące z Królestwa.

*** W Getyndze pan Zygmunt Dziembowski pozyskał stopień doktora prawa a w Marburgu Leon Świderski stopień doktora medycyny.

*** W Gdańsku w miesiącu przyszłym, w dniach między 16. a 30., odbywać się będzie zjazd przyrodników.

*** W Berlinie 14. sierpnia zamknięty został przydłuższą mową Virchowa jedenasty kongres antropologiczny; następne zgromadzenie odbędzie się w Regensburgu.

*** Wiedza starożytnych. Dziennik „Popular Science Monthly“ w zeszycie czerwcowym zamieścił wyjątek z mowy, mianej przez prezesa stowarzyszenia geograficznego amerykańskiego p. Daly, w którem powiada on: Według jednej z ksiąg starożytnych, stanowiącej kompilacją w rodzaju dzisiejszych naszych encyklopedyj, a napisanej przeszło na 2000 lat przed erą chrześcijańską, nie ulega wątpliwości, co zresztą od dawna już przypuszczano, że Chaldea była kolebką astronomii, bo tak z tej księgi, jak i innych zabytków pokazuje się, że Babilończykowie spisywali katalogi gwiazd, rozróżniali i dawali nazwy konstellacjom. Dwanaście z nich, stanowiące zodjak dzisiejszy, wybrali oni i uszykowali odpowiednio do wykazania kierunku drogi słonecznej na niebie. Czas podzielili na tygodnie, miesiące i lata, tydzień dzisiejszy podzielili na dni siedm, z których sześć było dniami pracy, a siódmy dniem odpoczynku. Temu ostatniemu dali nazwę, od której pochodzi wyraz „sabbat“, i dzień ten jako wolny od wszelkiego zajęcia, święcili tak surowo, jak żydzi lub purytanie. Zapisywali również ruchy ciał niebieskich i zjawiska atmosferyczne, starając się wykryć związek między pogodą a zmianami księżycowemi. Wynaleźli kompas i zegar wodny dla mierzenia czasu, a w księdze powyższej jest mowa o plamach na słońcu, a więc o fakcie, który znać jedynie mogli przy pomocy teleskopów czy lunet, które prawdo-

podobnie posiadali, wnosząc ze spisanych obserwacji wschodzenia planety Wenus i z soczewki kryształowej znalezionej przez Layarda w ruinach Niniwy. W księdze tej znajdujemy również sprawozdanie o potopie, takie same w treści, jak biblijne, wyjąwszy tylko nazw odmiennych. Z niej dowiadujemy się także, że ziemię i domy sprzedawano już, wydzierżawiano, zastawiano, że pieniądze pożyczano na procenta, że rolnicy orząc dla rozrywki w pracy śpiewali piosnki, z których dwie do nas doszło, stanowiąc łącznik niejako pomiędzy ową odległą cywilizacją a dzisiejszemi naszemi obyczajami.

Sztuki Piękne.

*** Pomnik dla Moniuszki dłuta Godebskiego ma być ustawiony w przedsionku(?) kościoła po-Bernardyńskiego w Warszawie.

*** Na Warszawską wystawę sztuk pięknych przybyły: Wł. Małeckiego „Powrót kozaków z wyprawy tatarskiej", „Polowanie", „Krajobraz"; Górnickiego Kazimierza „Szwajcarja z okolic Suwałk".

*** Wystawa ruchoma p. Krywulta w Warszawie została zamkniętą.

*** Koszta zaangażowania opery włoskiej dla Warszawy na sezon zimowy wynoszą 72,000 rs. — to się nazywa postęp opery... warszawskiej.

*** Pan Deryng utworzył towarzystwo prowincjonalne z wychowańców swej szkoły dramatycznej.

*** W Petersburgu projektowane jest utworzenie drugiego towarzystwa muzycznego; na ten cel baron Styglic ofiarował 200,000 rs.

*** Ryszard Wagner zrobił jednej z nowojorskich kompanij propozycję, na mocy której obowiązuje się, za wypłaceniem mu sumy miljona dolarów, przemieszkiwać stale w Ameryce i tu dalsze opery komponować (?)

*** W Londynie odbył się koncert urządzony przez firmę fabryki fortepianów „John Brinsmead and Sons," w którym uczestniczył Antoni Kątski, umyślnie na ten cel z Paryża przybyły.

The illustrated Sporting news, podając wizerunek naszego wirtouza, w pozie siedzącej przed fortepianem, pomieszcza obszerne i nadzwyczaj pochlebne o grze jego sprawozdanie.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** W Warszawie otwarty został zakład ortopedyczno-chirurgiczny prywatny dra Jasińskiego.

*** Kolej warszawsko-wiedeńska ma wznieść od ulicy Marszałkowskiej w Warszawie nowy dworzec.

*** W roku przyszłym miasto Toruń obchodzić będzie 650-letni jubileusz swego istnienia.

*** W Poznaniu kolej konna (tramwaj), zdobna w polskie i niemieckie napisy, poczyna mieć coraz większe powodzenie; myślą o założeniu kilku nowych linij.

*** Najciekawszy zabytek w Pompeji. W tych dniach ukończono odgrzebanie w zasypanem przez popioły Wezuwjusza mieście najciekawszej tegoż budowli.

Roboty nad odkopaniem tego wspaniałego zabytku architektury starożytnej rozpoczęto w roku zeszłym, w dniu 1800-letniego jubileuszu zasypania Pompeji.

Wnętrze gmachu pod względem okazałości i przepychu, odpowiada olbrzymim rozmiarom jego.

Dwie kryte komnaty wstępne *(atria)*, dwie sale jadalne *(triclinia)*, cztery otwarte galerje *(alae)*, zimne łazienki *(frigidarium)*, łaźnia *(tepidarium)* stanowią główne część starorzymskiego pałacu.

Podłoga przedsionka *(vestibulum)* ozdobioną jest pięknemi mozajkami, w pośrodku znajduje się w mozajce delfin, ścigany przez morskiego potwora.

W pierwszem atrium, którego ściany pokryte są malowidłami, przedstawiającemi epizody z historji rzymskiej, płyty w posadzce porysowały się, jakby od trzęsienia ziemi; wielki otwór pozwala zajrzeć do leżących pod niem piwnic.

Drugie atrium większe ma jeszcze rozmiary; 26 wspaniałych kolumn z bogatą, białą i czerwoną naprzemian sztukaterją, otacza basen marmurowy.

Najbardziej zajmującą częścią gmachu jest wewnętrzny dziedziniec, którego ściany pokryte są wybornie dochowanemi freskami.

U ziemi ciągnie się girlanda z liści, pomiędzy które naprzemian wplatają się bocian i jaszczurka.

Po nad nią wije się druga girlanda z gałązek powoju i winnej latorośli, na których siedzą ptaki.

Powyżej znajduje się wyobrażone malowidło, przedstawiające aquarium, którego dno zapełnione muszlami, rakami morskiemi itp. i porosłe wodnemi ziołami pomiędzy któremi kłębią się rozliczne potwory morskie.

Na ścianie, po lewej stronie muru, widzimy jeszcze po nad rybami dwa sfinksy.

Na głowach dźwigają one czworokątne marmurowe czary, a na brzegu każdej siedzi gołąb.

Małe schody marmurowe wiodą do obszernej niszy, ozdobnej freskami; po lewej widzimy olbrzymiego polipa, osnuwającego swoją zdobycz, po prawej raka morskiego, rozdzierającego swemi nożycami marenę

Koloryt i kompozycja tych malowideł uderza prawdą natury.

Po za niszą ciągnie się jeszcze galerja, której ściany pokryte są pejzażami.

Tu lampart rozrywa w sztuki konia, tam byk walczy zaciekle z lwem, dalej jelenie, dziki itd.; wszystkie zwierzęta w naturalnej wielkości.

Światło dostaje się do galerji przez mały czworokątny otwór w górnej części, owity girlandą *al fresco*.

Zdumiewa w ogóle bogactwo fresków w tym domu.

W innych przestrzeniach jego spotykamy się jeszcze z Bachusem, mięszającymi wino niewolnikami itp.

Obfite użycie marmuru, z rzadka spotykanego w mieszkalnych domach pompejańskich, wskazuje, iż był to najwspanialszy gmach w starożytnej Pompeji.

Odkrycia i wynalazki.

*** W Bośni znajdują się obecnie dwaj urzędnicy państwowego zakładu geograficznego, celem zbadania tamecznych pokładów kruszcowych. Nadesłane sprawozdania brzmią wielce pomyślnie. Dotychczas odkryto bogate pokłady miedzi, cyny, żelaza, a także natrafiono na srebro i rtęć.

*** W Kielcach podobno odkryto źródło siarczano-jodowe.

*** W Margonie (Prusy) wykopano cały kocioł miedziany, w którym znajdowało się cztery cetnary monet starych, wartości 16,000 talarów.

*** Marmury w Japonii. P. Gagliardi Włoch, profesor w instytucie politechnicznym w Tokio, z polecenia rządu badał łańcuch gór Ibarahi, w którym odkrył wiele pokładów marmuru rozmaitej barwy. Jedna z gór Surryama, stanowi, jak się zdaje, jednolitą masę białego marmuru posągowego. Wieść ta ucieszyć powinna rzeźbiarzy. Marmury czarne nie ustępują również najpiękniejszym z europejskich. Pan Gagliardi jest zdania, że jeżeli eksploatacja tamtejszych marmurów czynnie prowadzoną będzie, a środki przewożenia obmyślane należycie, to Japonia stać się może stolicą marmurów dla świata całego. Japończykowie znają marmur od wieków, ale nie wiele go cenią, bo uważają go za zbyt trudny do polerowania.

*** Opisując doświadczenia, robione w ostatnich czasach na obserwatorium w Allegheny (Stany Zjednoczone) nad ciepłem promienistem, prof. Langley opisuje ulepszony przyrząd termo elektryczny, będący wytworem amerykańskich fabryk żelaznych. Próby nad rozmaitemi materjami dokonywane okazały, że bardzo cienkie żelazo (w paseczkach $1/3$ milimetra szerokich, a na $1/500$ milimetra grubych) najlepiej się nadaje ku temu. Prof. Langley na ostatniem posiedzeniu akademji nauk w Nowym-Jorku pokazywał blachy żelazne otrzymane w walcowniach Pittsburgskich tak niesłychanie cienkie, że potrzeba ich 10,000 do 12.000 nałożyć jedna na drugą, ażeby złożyły cal jeden na grubość. Z pasków blachy takiej złożony przyrząd, jest tak prawie wrażliwym na ciepło promieniste, jak oko na działanie światła; czułości więc jego żaden termoskop nie dorównywa. P. Langley spodziewa się, że termoskop tego rodzaju wpowszechne wejdzie użycie.

Zjawiska przyrody.

Ciekawe skutki piorunu obserwowano w Szwajcarji podczas burzy 17. czerwca r. b. W dniu tym po południu gwałtowna burza srożyła się na szczytach gór oddzielających Montreux od Fribourga; pioruny szybko jeden po drugim uderzały w wyżyny des Arants i l'Alians, ale deszcz nie dosięgnął jeszcze brzegów jeziora Genewskiego, kiedy grom straszliwy wstrząsnął domami w Clarens i Tawel.

Piorun uderzył na łące przyległej cmentarzowi w Clarens i strzaskał pyszną wiśnię, której pień miał prawie metr obwodu. Nie daleko od drzewa dużo osób pracowało w winnicach, mała dziewczyna zbierała wisznie, a ponieważ matka ją zawołała, więc dziecko w tej chwili znajdowało się o trzydzieści kroków od drzewa. Nagle wydała się ona objęta płomieniem. Pewien mężczyzna idący do roboty miał właśnie przechodzić koło drzewa, ale się zatrzymał na chwilkę dla zapalenia fajki. Piorun uderzył o dwadzieścia kroków od niego. Mężczyzna usłyszał jakby wystrzał pistoletu za sobą i poczuł uderzenie w głowę jakby od pręta żelaznego. Robotnicy pracujący w winnicach długo osłupieli ze strachu zanim zdecydowali się na ucieczkę.

Na cmentarzu w Clarens dziwne wystąpiły zjawiska. Sześć osób w trzech oddzielnych gruppach oddalone o dwieście pięćdziesiąt kroków od strzaskanego drzewa, otoczone zostały parą świetlaną; jedna z nich zwrócona w stronę Chatelard widziała słup ognia zstępujący z góry; iskry elektryczne wyskakiwały z palców młodej dziewczyny, kiedy jej matka słyszała trzeszczenie w około ostrych słupów kraty grobowej.

Jeden z obecnych, opowiadający całe zdarzenie, trzymał na ramieniu laskę okutą na końcu a żona jego parasol, oboje uczuli uderzenia po twarzy i ręku jakby od gradu niewidzialnego lub zwiru rzuconego na nich, a w stawach ramienia długo odczuwali ból, jak od iskry z butelki lejdejskiej.

Najszczególniejszem zaś ze wszystkiego było, że jakkolwiek ludzie ci znajdowali się tylko o 250 kroków od drzewa rażonego i niektórzy widzieli słup ognia, wszelako nie słyszeli huku, który wstrząsał całą okolicą od Chilonu do Vewey; jeden tylko ogrodnik słyszał słabe, krótkie uderzenie. Drzewo podarte głębokiemi brózdami stało na swojem miejscu i właściciel miał nadzieję że ocaleje. Tymczasem burza nocna je obaliła; wewnątrz zaś jest ono zniszczone tak szczególnie, ze warte jest zbadania przez fizyków; możnaby bowiem przypuszczać, żo zostało rozerwane przez nabój dynamitowy włożony do środka. Wprawdzie szpara wewnętrzna w niem się znajdująca sprzyjała działaniu płynu elektrycznego.

*** *Trąba powietrzna w Stanach Zjednoczonych.* W ostatnich tygodniach miesiąca kwietnia rb. porzecze Missisipi od zachodnich granic terytorjum Indjan i stanu Kanzas aż do wielkich jezior nawiedzone było trąbami powietrznemi niesłychanej siły. Najwięcej ucierpiał stan Missouri, w którym całe jedno miasto *Marshfield*, do gruntu zburzonem zostało. Szczegóły tego strasznego objawu podał prof. *Tice* z St. Louis. Chmura lejkowata tworząca trąbę powietrzną, wciągnęła do swego wnętrza wszystko, co na drodze swej spotkała i unosiła do niezmiernej wysokości wodę, ił, drzewa, domy, kamienie i ziemię. Pola przez które przeszła wyglądały jakby zorane głęboko. Wir powietrzny, który zniszczył *Marshfield* przeniósł z sobą przez górę ogromną ilość wody wessanej prawdopodobnie z pobliskiej rzeki Jaunes River, a woda ta opadłszy następnie

tworzyła jeszcze znaczne zbiorniki po upływie doby. Głazy od 500—700 funtów wagi wyrwane były z ziemi i na znaczną odległość przeniesone. Naoczni świadkowie zapewniają, że kamień 40 centnarów ważący rzuciła burza na pole jednego kolonisty. W pobliżu miasta Jefferson nad Missouri z cmentarza uniesione i daleko rozrzucone zostały najcięższe pomniki grobowe. Platany do czterech stóp średnicy mające, wyrwane z ziemi z korzeniami pozostawiły jedynie po sobie doły olbrzymie. Nic więc dziwnego jeżeli orkan podobny porywał w górę ludzi i zwierzęta i że chora żona jednego rolnika po zerwaniu chaty została o półtory wiorsty z łóżkiem żywcem przeniesiona. Wielu świadków widziało ludzi latających w powietrzu, co zresztą stwierdzają i mnogie trupy rozbite na miazgę upadkiem.

ŚMIERĆ LORDA X...

(z francuzkiego.)

Kilka lat temu, „kwitnął“ w Paryżu (można tak powiedzieć bez poezji z powodu szkarłatnych narośli, z których nos jego był złożony) — kwitnął więc w Paryżu stary „lord angielski,“ jak mówi wielu szanownych obywateli, dla uniknięcia pomięszania „z lordami hiszpańskimi i niemieckimi. Jego wysokość, mocą bogactw, zbytku i używania doszedł do tego, że nic nie sprawiało mu przyjemności ani nie wzbudzało żądz; organa jego stały się bezwładne jak i myśl; a wszelka wrażliwość była zniszczoną na całej przestrzeni jego osoby, jako też wszelkie uczucie w jego rodzaju serca. Mylę się: łakomstwo, najbrutalniejszy i najłatwiejszy z siedmiu grzechów głównych, przeżyło w nim zniszczenie wszystkich zdolności fizycznych i umysłowych i jeżeli od kilku miesięcy jego stępione podniebienie nie odróżniało smaku pokarmów, które żołądek przestał trawić; jeżeli wszystko co kucharze wymyślili delikatnego i subtelnego było suchym popiołem w jego ustach i palącym żarem w jego wnętrznościach, jeżeli nakoniec nie mógł nawet jeść... węch jego zachował jakieś wspomnienie uczt minionych, jakieś pojęcia kulinarne. Jego nozdrza zupełnie nieczułe na zapachy kwiatów, wzdymały się jesce rozkoszą na mocny zapach niektórych serów, a zwłaszcza na wyziew surowych ryb morskich.

Tym sposobem ten zacny Anglik, gdy miałem przyjemność go spotkać, żył już tylko pożądliwością nosa, który budził się jedynie w obec zielonawej skórki starego serachester, albo wśród dojrzałych rei i stokfiszów. Tak jest; uczepił się z chciwością tej ostatniej odmiany wegetacyjnego istnienia, i kiedy nie miał kataru, lękał się śmierci, jak gdyby miała go zabrać snom miłości, marzeniom chwały! Wzniosły instynkcie zachowawczy, jakąż jesteś tajemnicą! Przestawaj na małem, mówi rozum. Jakimże mędrcem byłeś, stary warjacie!

Lord X... zamieszkiwał wspaniały pałac, niedaleko placu Saint Germain i tam, gdy nie miał dość sił do zniesienia trudów jazdy karetą na rynek, kazał się wlec zmysłowy starzec dwom wielkim służącym i młodemu gromowi przebranemu za huzara, na którym opierał się jak na kiju, i który od cebrzyka do cebrzyka, od składu do składu, od przekupki do przekupki chodził, wybierając świeże ryby lub takie, które wiedział, że były w guście mylorda i podawał mu je w stosownej odległości. W tedy ten nos zapalczywy i żarłoczny spadał na swą zdobycz i pozostawał do niej rozkosznie przylepiony, jak truteń do plastra miodu, albo ulatywał nieprzytomny z rozkoszy, jak koliber, który pije balsamiczny sok róży. Stary gastronom, nie bez pieniędzy, lecz bez żołądka, okrążał w ten sposób targowisko, wąchając całą arystokrację stsrą lub nową ryb wystawionych na sprzedaż i płacąc z miejsca na miejsce za wynajęcie swego śniadania; następnie gdy nie był już głodnym, wracał do swego pałacu, w tym samym porządku co wyszedł i przeżuwał, aż do obiadu, wykonanego podług wyjątkowego systemu, na wyłączny użytek jego podniebienia i który mu podawano w domu. Czasasami nawet jadał kolację, z upoważnienia swych trzech lekarzy angielskich, ale nadzwyczaj lekką. Sfermentowane sery i ryby surowe przesuwały się jak kolibry przed jego nosem, musiał wciągać je w locie.

Lecz jak i czem żył? jest to zdanie nad rozwiązaniem którego pracuje wiele akademji... One nam to wytłumaczą, zobaczycie!

Był to szary poranek listopadowy; przechodziłem przez rynek i szedłem prędko, chociaż oczekiwały mnie tylko interesa; ale wyziewy i rozmowy miejscowe nie zatrzymywały mnie. Wtem ciężka kareta stanęła przedemną i przystanąłem powodowany ciekawością łatwą do zrozumienia, ponieważ z karety, z tysiącznemi ostrożnościami, skrzętne i usłużne ramiona wyciągały jakiś przedmiot opakowany, który powoli nabierał formę watowanego jedwabnego kaftana, z rękami nogami i głową, które przechodziły nie robiąc żadnego poruszenia... zaraz przekupki poczęły hałasować, wstrząsając ogonami skarpi, raków morskich i płaszczy, jak chorągwiami na uroczystości. Watowany kaftan wydał okrzyk zadowolenia i zniknął w jednej minucie wśród tej owacji, z dwoma wielkimi lokajami i huzarem-groomem, którego już znacie.

Nie znałem jeszcze nic z tego wszystkiego i postępowałem w pewnej odległości za orszakiem tego nowego króla targu, gdy głos... nie był to głos męzki, był zanadto krzykliwym... nie był to głos kobiecy, był zanadto silny... głos szczególniejszy zawołał:

— Chodźżesz pan tędy, mój mylordzie; jakżeż dawno nie widziano tutaj tego kochanego wyspiarza! Od ostatniego piątku, wietrzniku. Chciałam z rozpaczy zamówić sobie miejsce na Pére Lachaise; usiądź pan na mojem. Mam coś świeżego i sławnego w dodatku; mówią, że to przyszło żywe z Marsylji dla twego nędznego nosa, mylordzie! I podagryk, ze swoim orszakiem skierował się w stronę zkąd głos pochodził, rozsuwając tłum rywalek które reklamowały w starym języku krajowym. Nie słyszał, nie widział, lecz szedł prosto do ryby cudownej, jak pies za niewidzialną zwierzyną... i zagłębił się w oceanie rozkoszy; była to jedna z tych muren bajecznych, za które Appins byłby zapłacił tysiące sestersów rybakowi z Syrakuzy.

— Pan niewiesz — rzekła przekupka — mówią, że trzech ludzi utonęło przy łowieniu tej pięknej sztuki!

Anglik podniósł odrobinę swój nos i usłyszałem, że się śmiał, następnie powrócił do swej roboty. Byłem przykuty do miejca jakimś czarem potwornym.

— Powiedz-że, panie Goddam, już blisko pół godziny jak wąchasz pan moją rybę, nic już czuć jej nie będzie. No, wstańmy od stołu; dosyć jadłeś żarłoku!

Anglik nie przerywając sobie wyciągnął dwa luidory z kieszeni i rzucił je w fartuch straganiarki. Jeszcze pół godziny później: I cóż, krzyczała skończyliśmy? Czy śpi, ten stary Baltzar;... Mylordzie! Mylordzie!... daremnie nim wstrząsam, nie porusza się już, tak jak moje stokfisze!... Chodźcie, pomóżcie mi zabrać ztąd tego figlarza!

Lokaje wzięli swego pana pod pachy i postawili go na nogach i zwalił się... Oczy jego były nieruchome, ręce lodowate, ślady zachwytu pozostały jeszcze w okolicaah nosa...

Umarł z niestrawności!!!

Ramiona zesztywniałe przyciskały w kurczu miłosnym murenę tak silnie do piersi, że niepodobna było ich rozłączyć i musiano pochować razem.

Trzeciego dnia wszystkie dzienniki podały artykuł, który tak się zaczynał: Arystokracja poniosła w osobie Lorda X... stratę, która długo da się uczuwać... a kończył się w ten sposób: W żalu pogrążona rodzina i liczni przyjaciele odprowadzili go na miejsce wiecznego spoczynku, gdzie wypowiedziane zostały dwie mowy, po francusku i po angielsku wśród powszechnego wzruszenia.

Wspaniały grób Lorda X... stoi pomiędzy skromnemi nagrobkami Alfreda de Musset i Geoffroy Saint Hilaire... Na wielkiej tablicy z czarnego marmuru są wyliczone wszystkie jego tytuły; mówiono mi, że jest tam mowa o jego duszy!

...Spadkobiercy nosili żałobę, jak gdyby kto umarł.

Odpowiedzi Redakcji.

P. A. Z. w Sac. Wiersz pod tytułem „Polska“ nie może być drukowany w „Tygodniu“ głównie dla niewyrobionej formy.

P. M. J. Wisnowskiemu w Nowym Yorku. Ziarno wysłaliśmy; z nadesłanych nam pieniędzy, pozostało u nas złr 3. c. 16.

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim“ zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego“ we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 35. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.